

Śledztwo w sprawie Katynia wbrew oficjalnej narracji?

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 06(414) CZERWIEC 2025

Nauczyciele i związkowcy
w szeregach
Armii Krajowej

**OSACZONY
TROPIONY
zdradzony**

Kulisy aresztowania „Grota”





KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 06(414) czerwiec 2025



dołącz do nas na facebooku i na X

www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



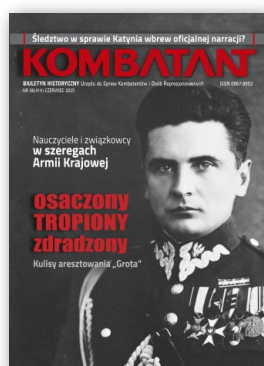
Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



w numerze

4 Cud bardzo dobrze przygotowany

Rok 1989 to nie tylko lekcja nadziei, ale też odpowiedzialności.

Rozmowa z prof. Instytutu Studiów Politycznych PAN dr hab. Pauliną Codogni

Katarzyna Krzykowska

8 Przegrany bój „smutnych panów”

Strajki, które wybuchły na początku lipca 1980 r., nie były dla Służby Bezpieczeństwa zaskoczeniem. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że gdyby ekipa Gierka posłuchała ostrzeżeń z Rakowieckiej, większości protestów udało się uniknąć

Grzegorz Majchrzak

12 Osaczony, tropiony, zdradzony. Kulisy aresztowania „Grota”

Feralnego dnia – 30 czerwca 1943 r. – generał nie spodziewał się zasadzki. Rankiem wszedł do mieszkania przy ul. Spiskiej, gdzie mieszkał pod fikcyjnym nazwiskiem – jako Jerzy Malinowski

Waldemar Kowalski

16 Roman Martini i falsyfikat „Tartakowa”

Po 1945 r. władze Polski Ludowej z pełnym przekonaniem podtrzymywały fikcję o niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnię katyńską. Czy wbrew tej oficjalnej narracji działał prokurator dr Roman Martini, prowadzący pierwsze powojenne śledztwo?

Norbert Nowotnik

20 Nauczyciele i związkowcy w szeregach Armii Krajowej

Obok prowadzenia tajnych kompletów, nauczyciele często byli zaangażowani w konspirację ZWZ-AK i Szare Szeregi. Oprócz symbolicznej dla tej aktywności rodziny nauczycielskiej Bytnarów, związanej od przedwojnia z ZNP, byli i inni

Piotr Wierzbicki

25 Ideały i wartości ruchu społecznego Solidarność

Rozmowa z grafikiem i fotografikiem Jackiem Marią Stokłosą jednym z założycieli NSZZ „Solidarność” przy krakowskim okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków

Mateusz Wyderka

29 Leopold Unger – dziennikarz, emigrant, „Brukselczyk”

Życiorys Leopolda Ungera – dziennikarza, publicysty, komentatora międzynarodowego, to gotowy scenariusz na film sensacyjny

Agata Fijuth-Dudek

Szanowni Państwo!

Trzydzieści sześć lat temu „skończył się w Polsce komunizm”. Zakończył się niestandardowo, bez huku wystrzałów i bez rozlewu krwi. Fenomen pokojowej rewolucji przekonująco pokazała znawczyni tematu prof. Paulina Codogni w wywiadzie zamieszczonym w niniejszym numerze. Znamienne zdanie, że „4 czerwca 1989 roku nie runęły mury, ale zawalił się system”, wyraża paradoks całej sytuacji, zaskakującej zarówno dla rządzących, jak i dla ówczesnej opozycji. Oto do przejścia władzy wystarczyło 35 procent miejsc zagwarantowanych opozycji w Sejmie kontraktowym. Miażdżąca przewaga „Solidarności” w wyborach do Sejmu i zdobycie niemal całego Senatu diametralnie zmieniły układ sił. Historia nabrała rozpędu i tak u schyłku 1989 roku staliśmy się, jak dawniej, obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej. W tym samym momencie przywrócono tradycyjne godło z orłem w koronie.

Nie byłoby tego zwycięstwa bez „Solidarności” – wielkiego wolnościowego ruchu, łączącego ludzi różnych zawodów i środowisk. Chcemy przypominać sylwetki historycznych przywódców „Solidarności” oraz jej cichych bohaterów. W tym numerze oddajemy głos artyście grafikowi Jackowi Marii Stokłosie, który idei solidarnościowej służył swoim zapalem i talentem. W opowiedzianej w innym miejscu biografii Leopolda Ungera widać życiową drogę pomarcowego emigranta, podejmującego udaną współpracę z paryską „Kulturą” i Rozgłosnią Polską Radia Wolna Europa. Nie sposób przecenić znaczenia obu tych instytucji ani zmierzyć skali ich oddziaływania na rodaków zamkniętych za „żelazną kurtyną”.

W artykule Przegrany bój „smutnych panów” możemy z kolei prześledzić działania drugiej strony, próbującej za pomocą licznych prowokacji, a nawet sabotażu, rozsadzić od środka ruch rodzący się w trakcie letnich strajków 1980 roku.

Pamiętamy oczywiście o bohaterach drugiej wojny światowej, poświęcając im osobne teksty. Przypominamy nauczycieli – zarówno tych zaangażowanych w tajne nauczanie, jak i tych, którzy pełnili odpowiedzialne funkcje w Armii Krajowej. Przywołujemy również okoliczności aresztowania dowódcy AK, generała Stefana „Grota” Roweckiego. Autor artykułu poświęconego temu zdarzeniu wykorzystał bardzo różne źródła, sięgając między innymi po powojenne zeznania jednego z agentów oraz przytaczając relację naocznego świadka, który po ujęciu „Grota” obserwował na gorąco reakcje pracowników Gestapo.

Polecam wszystkie artykuły oraz wywiady uwadze Czytelnika i życzę pasjonującej lektury.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



dr hab. Paulina Codogni
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Cud bardzo dobrze przygotowany

W 1989 roku nie runęły mury, ale zawalił się system – od środka, pokojowo, z woli ludzi. Czerwiec 1989 to nie tylko lekcja nadziei, ale też odpowiedzialności. Pokazuje, że walczyć o wolność to jedno, a mądrze ją zagospodarować to drugie – powiedziała w rozmowie z „Kombatantem” prof. Instytutu Studiów Politycznych PAN dr hab. Paulina Codogni.

Czy to, co się wydarzyło w Polsce w czerwcu 1989 roku można określać mianem politycznego cudu?

Strajki, podziemie, ulotki, apele, internowania, dyskusje na temat granic kompromisu, kampania wyborcza zorganizowana z wielkim rozmachem – to raczej solidna robota zespołowa z domieszką intuicji politycznej i nerwów ze stali.

Wydarzenia te były efektem długotrwałego, świadomego i racjonalnego działania opozycji antykomunistycznej, a nie tzw. farta. Do przełomu czerwcowego doszło również na skutek decyzji elit rządzących, które – zmuszone przez kryzys gospodarczy, nacisk społeczny i sytuację międzynarodową – zdecydowały się na negocjacje z opozycją. Miały nadzieję na jej

zneutralizowanie lub wmontowanie w system. Obrady Okrągłego Stołu i wybory parlamentarne, do których doprowadziły, nie były owocem spontanicznego zrywu, lecz długotrwałych rozmów i ustaleń, w wyniku których władza zachowała wpływy, gwarantując sobie 65 proc. mandatów w Sejmie. To nie „cud”, lecz świadomy polityczny kontrakt.

PLAKAT TOMASZA SARNECKIEGO „W SAMO POŁUDNIE. 4 CZERWCA 1989”.
FOT. PAP/7. GZELL/REPRODUKCJA



Kampania Komitetu Obywatelskiego była profesjonalnie przygotowana, skoncentrowana wokół silnych symboli i pozbawiona wewnętrznych podziałów – w przeciwieństwie do skompromitowanego i zdeorientowanego obozu władzy. Nie można też zapominać, że wydarzenia te miały miejsce w sprzyjającym transformacji kontekście geopolitycznym. Polityka pierestrojki Michaiła Gorbaczowa sprawiła, że ZSRR nie zamierzał ingerować siłą w sprawy reżimów satelickich, jak wcześniej na Węgrzech czy w Czechosłowacji. Polska transformacja była więc w pewnym sensie moż-

Władza popełniła błąd oceniając nastroje społeczne? Wiosną 1989 roku tylko 25 proc. Polaków popierało opozycję, jednocześnie ponad 40 proc. naszych rodaków było niezdecydowanych. Ludzie Jaruzelskiego mieli nadzieję, że niezdecydowani ostatecznie opowiedzą się za PZPR.

Władza PRL niewątpliwie popełniła poważny błąd w ocenie nastrojów społecznych wiosną 1989 roku. Opierając się na sondażach i analizach, kierownictwo PZPR przyjęło założenie, że zdecydowana mniejszość obywateli popiera opozycję, a znaczna część – ponad 40 proc. – pozostaje niezdecydowana. Władze wierzyły, że w obliczu wyborów ta milcząca większość wybierze stabilność, czyli dotychczasowy porządek.

Wielu decydentów partyjnych było przekonanych, że PZPR i jej sojusznicy nadal dysponują znacznym rezerwem zaufania społecznego – choćby ze względu na kontrolę mediów, instytucji oraz doświadczenie w organizacji wyborów. Liczono również na mobilizację aparatu partyjnego i „konstruktywnej opozycji”, czyli organizacji popierających władzę. Zakładano, że opozycja – mimo symbolicznej siły – nie zdoła przekuć poparcia moralnego na wynik wyborczy, zwłaszcza w tak krótkim czasie przygotowań.

Tymczasem już w maju 1989 roku kampania Komitetu Obywatelskiego pod patronatem Lecha Wałęsy nabrała ogromnej dynamiki. Władza nie doceniła nie tylko profesjonalizmu tej kampanii, ale przede wszystkim ogromnej siły symbolicznej Wałęsy i znaku „Solidarności”. Kandydaci komitetu startowali pod wspólnym szyldem, unikając rozproszenia głosów, a wizerunki z Wałęsą stały się gwarancją zaufania społecznego. Jak później żartowano, „nawet krowa weszła by do Sejmu, gdyby sfotografowała się z Wałęsą”.

Równocześnie kampania rządowa była chaotyczna, spóźniona i prowa-



FOT. PAP

liwa „za przyzwoleniem Moskwy”, co czyni ją bardziej skutkiem przemian globalnych niż cudownym wyłomem.

W miejsce metafory o cudzie lepiej więc mówić o skutecznie przeprowadzonym procesie pokojowej transformacji. A jeśli ktoś upiera się przy tym określeniu, to przynajmniej warto dodać, że był to cud dobrze przygotowany – taki, na który pracowano latami, a w ostatnich miesiącach niemal bez wythnienia.



dzona według błędnych założeń. Postawiono na strategię krótkiej, intensywnej kampanii w ostatnim tygodniu – w przekonaniu, że wyborcy szybko zapomną o agitacji opozycji. Ta taktyka całkowicie zawiodła. Kandydaci PZPR byli często anonimowi, pozbawieni lokalnego zaplecza i spotykali się z powszechną niechęcią – skutkiem lat represji, stagnacji gospodarczej i kompromitacji partii.

Wybory okazały się sukcesem Solidarności. Wynik zaskoczył nie tylko komunistów, ale przede wszystkim stronę solidarnościowo-opozycyjną...

Wybory z 4 czerwca 1989 roku przeszły do historii jako przełomowy moment w dziejach Polski i symboliczny początek końca komunizmu. Co ciekawe – skala zwycięstwa zaskoczyła nie tylko władze komunistyczne, ale również samych zwycięzców, a więc Solidarność, która nie do końca wierzyła w aż tak głęboką zmianę nastrojów społecznych. Jak wspominał Henryk Wujec: „na pytanie, kto będzie startował, nikt nie chciał. (...) Wyszliśmy z przekonaniem, że chyba trzeba, ale nikt nie był pewny zwycięstwa”.

Dlaczego nawet organizatorzy kampanii Solidarności nie wierzyli w możliwość zdobycia wielu głosów, nie mówiąc o praktycznie wszystkich? Po pierwsze, działacze opozycyjni przez lata funkcjonowali w podziemiu i poddawani byli represjom – nie mieli pewności, czy społeczeństwo nadal ich popiera. Po drugie, kampania była krótka, a państwo komunistyczne dysponowało całym aparatem propagandowym i instytucjonalnym. Po trzecie, istniała obawa, że ludzie nie pójść głosować lub ulegną presji. Tymczasem frekwencja sięgnęła niemal 63 proc., a głos oddany na Solidarność stał się symbolem buntu, nadziei i autentycznego głosu obywateli.

Warto podkreślić, że choć wybory były częściowo wolne i oparte na kompromisie, ich efekt przerósł założenia

Okrągłego Stołu. Komuniści liczyli na to, że zachowają kontrolę, że Solidarność zdobędzie kilka mandatów i stanie się lojalną opozycją. Tymczasem zwycięstwo opozycji obaliło ten scenariusz, doprowadzając ostatecznie do utworzenia pierwszego niekomunistycznego rządu w Europie Środkowo-Wschodniej. Nikt nie przewidział, że tak szybko i tak zdecydowanie możliwe będzie odejście od monopolu władzy. To dowód na siłę społecznego pragnienia zmiany i na

wie służb, o dziwnych układach. Moim zdaniem każdy proces historyczny, nawet najbardziej transparentny, ma swoje niejasności, które mogą wynikać z różnych czynników – choćby z niedocenianego przypadku – ale to nie znaczy, że ktoś tu coś skrzętnie ukrywa w sejfie z napisem „Top Secret 1989”.

Niekiedy mam wrażenie, że przywoływanie „niedopowiedzianych kart historii” to, mówiąc wprost, czepianie się sukcesu, bo przecież – jak wiado-



Porozumienie Okrągłego Stołu pozwoliło uniknąć chaosu, przemocy i odwetu FOT. PAP

to, jak trudno przewidzieć skutki odblokowania wolności – nawet tym, którzy o nią najdłużej walczyli.

Jakie są dziś największe białe plamy w naszej wiedzy o wydarzeniach roku 1989?

„Białe plamy” w wiedzy o 1989 roku? Według mnie to jeden z najlepiej opisanych politycznych przełomów w historii – analizowano go z każdej strony: od stołu, przez kulisy, aż po zaplecze kawowe. Są wspomnienia, stenogramy, wywiady, filmy dokumentalne, analizy i biografie. Mówi się o zakulisowych rozmowach, o wpły-

mo – wielu z nas woli podejrzewać, oskarżać i rozliczać, niż świętować. A skoro transformacja się udała i nie było ani krwi, ani wojsk sowieckich na ulicach, to coś przecież musi być z nią nie tak, prawda? Zamiast wciąż węszyć spiski i szukać podejrzanych o zdradę, może lepiej uznać, że 1989 rok był po prostu dobrze rozegranym momentem historycznym. I że czasem jakieś wydarzenie nie musi być ani efektem spisku, ani cudu, ale mądrości.

Z czego wynika krytyka tamtych wydarzeń?

Krytyka wydarzeń 1989 roku wynika z faktu, że oceniamy je z perspektywy czasu, zapominając, że aby dokonać rzetelnej oceny, należałoby się raczej postawić w tamtej sytuacji, w tamtym

ryczeniu w szeregach dawnych członków reżimu, stworzyły podatny grunt m.in. dla rozwoju Państwa Islamskiego. Pokojowe przejęcie władzy minimalizuje ryzyko takich zdarzeń.

Jaka lekcja płynie dla nas z tych wyborów?

Czasami wielkie wydarzenia historyczne rozgrywają się nie w huku rewolucji, lecz w ciszy kartki wyborczej. 4 czerwca 1989 roku nie runęły mury, ale zawalił się system – od środka, pokojowo, z woli ludzi. Dziś, po 36 latach, warto zadać sobie pytanie: co właściwie mówi nam ten dzień o nas samych i jaką lekcję zostawiła nam tamta czerwcową niedzielą?

Pierwsza i najważniejsza nauka: zmiana jest możliwa, nawet wtedy, gdy wydaje się nierealna. Jeszcze rok wcześniej Solidarność działała w podziemiu, a aparat władzy trzymał wszystko w garści. A jednak – siłą cierpliwej strategii, społecznej determinacji i historycznego wyczucia – udało się wejść do systemu i rozmontować go od środka. Wybory, które miały być tylko „kontrolowaną modernizacją”, stały się pierwszym pokojowym końcem komunizmu w regionie.

Druga lekcja dotyczy kompromisu. Porozumienie Okrągłego Stołu, choć niedoskonałe, pozwoliło uniknąć chaosu, przemocy i odwetu. Nie wszyscy w opozycji byli z niego zadowoleni – część uznała, że to układ zawarty zbyt łatwo. Ale historia pokazała, że czasem mądrość polega na tym, by iść krok po kroku, zamiast przewracać stół. Jest też i trudniejsza lekcja: wolność nie gwarantuje sprawiedliwości. Dla niektórych transformacja okazała się bolesna. Część ludzi zapłaciła za nią utratą pracy, upadkiem zakładów, biedą. Demokracja nie objawiła się wszystkim jednakowo – i to też musimy dziś pamiętać.

Czerwiec 1989 to więc nie tylko lekcja nadziei, ale też odpowiedzialności. Pokazuje, że walczyć o wolność to jedno – ale ją mądrze zagospodarować, to drugie. Wybory można wygrać, ale przyszłość trzeba codziennie budować.

Rozmawiała Katarzyna Krzykowska



momencie. Gdy już doskonale wiemy, jak sprawy się potoczyły, łatwo wytykać np. liderom opozycji popełnione błędy czy zarzucać, że poszli na niepotrzebny kompromis z władzą. Moim zdaniem to bardzo niesprawiedliwe wobec ludzi, którzy podejmowali decyzje w warunkach wielu niewiadomych o kluczowym znaczeniu. Trudno było znać prawdziwą skalę ustępstw i determinacji władzy, która – mimo że osłabiona m.in. kryzysem gospodarczym – dysponowała aparatem represji, zdolnym jeszcze kilka lat wcześniej do najgorszych zbrodni.

Inny nurt krytyki koncentruje się na przekonaniu, że z władzą mającą na rękach krew nie należy rozmawiać. Oznaczałoby to, że jedyną dopuszczalną formą zmiany jest krwawe obalenie rządzących i odebranie wpływów wszystkim, którzy byli z nimi związani. Historia zna takie przypadki – jednym z nich było obalenie Saddama Husajna w Iraku i rozbięcie partii Baas. Chaos, jaki to wywołało, oraz rozgo-

Wreszcie – głos sprzeciwu pochodzi także od rozczarowanych zwykłych ludzi. Transformacja przyniosła wolność, ale też bezrobocie, likwidację zakładów pracy, ogromne nierówności. Dla wielu przełom 1989 roku nie był aktem wyzwolenia, lecz początkiem życiowych trudności. Dziś, z perspektywy dekad, mówi się o „utraconych złudzeniach” – że wolność okazała się dostępna, ale niekoniecznie sprawiedliwa. Transformacja miała swoje koszty. Nie da się ukryć – część ludzi poczuła, że zamiast nagrody za wytrwałość dostali rachunek za cudze błędy. Bezrobocie, upadek zakładów pracy, społeczna frustracja. Ale czy to oznacza, że sama idea była zła? Krytyka tamtych wydarzeń to w gruncie rzeczy znak, że wolność zadziałała. Bo tylko w wolnym kraju można publicznie narzekać na transformację, którą się wybrało. A że Polacy lubią ponarzekać? No cóż – to już raczej nasza tradycja niż zarzut wobec 1989 roku.



TEKST | Grzegorz Majchrzak

Przeegrany bój „smutnych panów”

Możemy już dzisiaj towarzysze stwierdzić, że w sytuacji masowej solidarności, a szczególnie strajków typu okupacyjnego, nasze pozytywne profilaktyczne oddziaływania są bardzo ograniczone, nieskuteczne, a przeciwdziałania wręcz niemożliwe – stwierdził dyrektor Departamentu III „A” MSW (kluczowego w walce z opozycją) Władysław Ciastoń, niespełna tydzień po podpisaniu porozumień sierpniowych 6 września 1980 roku. W ten sposób podsumował działania resortu spraw wewnętrznych w lipcu i sierpniu tego roku.

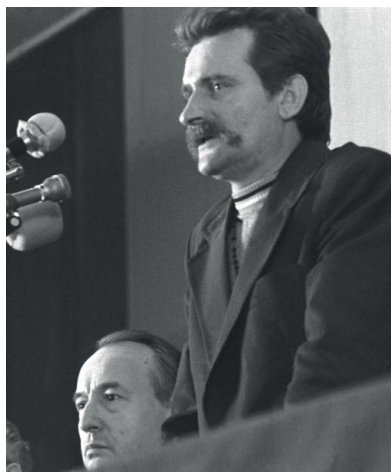
Myśl tę rozwinął miesiąc później: *W sytuacji jednak powszechnego niezadowolenia załóg i wystąpienia dużego poczucia solidarności wśród załóg, w sytuacji która wymagała decyzji politycznych i ekonomicznych, skuteczność naszych działań była ograniczona i nie miała większego wpływu na rozwój wypadków. Dobrze to oddaje dokonania resortu – głównie Służby Bezpieczeństwa – w tym okresie. Strajki jej nie zasko-*

czyły, miała przygotowane plany, których – z różnych powodów – nie udało się jej zrealizować. I ostatecznie – mimo pojedynczych sukcesów – poniosła klęskę...

Rosnące niezadowolenie

Strajki, które wybuchły na początku lipca 1980 roku, nie były dla Służby Bezpieczeństwa zaskoczeniem. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że gdyby ekipa Edwarda Gierka posłu-

chała ostrzeżeń płynących z Rakowieckiej, zdecydowanej większości protestów udało by się uniknąć. Tych ostrzeżeń było zresztą kilka. Najbardziej alarmująca była informacja z połowy czerwca, sygnowana – nawiasem mówiąc – przez Ciastonia. Stwierdzono w niej: *Wśród załóg zakładów pracy i w środowiskach zawodowych, zwłaszcza na terenie Wybrzeża, wystąpił w ostatnim okresie poważny wzrost nastrojów niezadowolenia na*



Sala BHP Stoczni Gdańskiej im. Lenina, przewodniczący MKS Lech Wałęsa i wicepremier Mieczysław Jagielski podpisują porozumienie między Komisją Rządową a Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym FOT. PAP

tle sytuacji społeczno-ekonomicznej w kraju.

Rakowiecka ostrzega

Alarmowano: *Wyczuwa się napiętą atmosferę, podobnie jak w czerwcu 1976 roku, która w przypadku dalszych podwyżek cen może doprowadzić do przerw w pracy.* Rządzący nie posłuchali. Inna sprawa, że decyzja o podniesieniu cen niektórych artykułów mięsnych i wędlin, choć formalnie zapadła dopiero 24 czerwca 1980 roku na forum rządu, została faktycznie podjęta znacznie wcześniej – już w kwietniu – przez Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Warto dodać, że MSW ostrzegało również decydentów, iż strajki mogą zostać wykorzystane przez działaczy opozycji do realizacji własnych celów.

Mało tego, w innej notatce funkcjonariusze SB trafnie wskazali Wytwórnę Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Mielec” jako zakład, gdzie nastroje grożą protestem. I rzeczywiście, jak później informowali, tam miał wybuchnąć pierwszy strajk w reakcji na lipcową podwyżkę cen...

Do „przerw w pracy” – jak początkowo określano robotnicze protesty – Służba Bezpieczeństwa przygotowywała się przez długi czas, niemal dekadę. W MSW, wyciągając wnioski z wydarzeń Grudnia 1970 roku, opracowano tzw. „koncepcję operacyjnego przygotowania na konflikt w szerszej skali”. Zakładała ona wcześniejsze przygotowanie i odpowiednie przeszkolenie tajnych współpracowników SB, tak aby w razie wybuchu strajków mogli przejąć rolę przywódcą, kierować ich spokojnym przebiegiem i nie dopuścić do skierowania ruchu strajkowego na politycznie niebezpieczne tory. Na szczęście – przynajmniej na szerszą skalę – plan ten nie został zrealizowany latem 1980 roku.

Mniejsze i większe sukcesy „smutnych panów”

Nie oznacza to jednak, że Służba Bezpieczeństwa okazała się całkowicie bezradna – przeciwnie, odniosła również pewne sukcesy. Największy z nich funkcjonariusze SB mogli zanotować w lipcu w Lublinie, gdzie udało im się uniemożliwić powstanie ponadzakładowej struktury strajkowej. Jej inicjatorem był związany z Komitetem Obrony Robotników kolejarz Zdzisław Szpakowski. Problem w tym, że nie dotarł on na zorganizowane przez siebie spotkanie w tej sprawie, zaplanowane na 18 lipca – trafił bowiem do szpitala z podejrzeniem zawału serca. Jak później twierdzili lubelscy esbecy, ich celem było niedopuszczenie do tego spotkania. Można więc przypuszczać, że hospitalizacja Szpakowskiego była wynikiem ich działań. Jakich konkretnie – tego niestety nie wiemy z powodu zniszczenia dokumentów operacyjnych. Istnieją dwie możliwości: albo – co mniej prawdopodobne – został podtruty, albo – co wydaje się bardziej realne – został „jedynie” zastraszony, ponieważ, jak się później okazało, żadnego zawału nie przeszedł. Rzecz komplikuje fakt, że był on w tym

czasie formalnie, ale nie faktycznie, nadal tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Julek...

Bezpieka potraktowała strajki poważnie

To jednak raczej wyjątek niż reguła, jeśli chodzi o działania Służby Bezpieczeństwa latem 1980 roku. Jej funkcjonariusze przede wszystkim śledzili przebieg strajków i stanowili główne – a z pewnością najpełniejsze – źródło informacji o nich dla władz PRL. W przeciwieństwie do decydentów politycznych, SB nie lekceważyła tych wydarzeń. Przykładowo Władysław Kuca, odpowiedzialny przed powstaniem „Solidarności” w Departamencie III „A” MSW za zwalczanie wolnych związków zawodowych, jak sam pisał, „z ramienia centrali” kierował grupą funkcjonariuszy MSW „od pierwszego do ostatniego dnia strajku w Gdańsku, a wcześniej w Lublinie”.

Nie było w tym absolutnie przypadku – w lipcu 1980 roku to właśnie Lubelszczyzna była najważniejszym centrum strajkowym. To tam, a nie w Szczecinie czy Gdańsku, rządzący podpisali pierwsze porozumienie z robotnikami. Zresztą na strajki w Trójmieście Służba Bezpieczeństwa zareagowała błyskawicznie – komendant wojewódzki MO w Gdańsku już o godz. 8.00 14 sierpnia 1980 roku, czyli około dwie godziny po rozpoczęciu protestu w Stoczni Gdańskiej i na około dwie godziny przed przybyciem Lecha Wałęsy, wydał polecenie „uruchomienia działań sztabu i stanowiska dowodzenia KW MO Gdańsk” oraz rozpoczęcia operacji. To właśnie szybka reakcja pozwoliła władzom na szczegółowe monitorowanie wydarzeń od początku i odegrała znaczącą rolę w niepowodzeniu prób szybkiego wygaszenia pierwszego strajku. Kiedy dwa dni później stało się jasne, że mimo podpisanego porozumienia z dyrekcją nie uda się protestu stłumić, na szczelbu

centralnym MSW powołano Sztab Operacji „Lato 80”. Jego zadaniem było „koordynowanie zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”. Analogiczne sztaby utworzono również przy komendach wojewódzkich Milicji Obywatelskiej.

Neutralizacja opozycji

Służba Bezpieczeństwa nie ograniczała się do biernego obserwowania kolejnych wybuchających latem 1980 roku w niemal całym kraju strajków. Jej funkcjonariusze starali się ustalić nie tylko ich organizatorów czy formalnych liderów, ale też osoby szczególnie aktywne w ich trakcie. A w niektórych przypadkach również je zastraszyć – w tym celu w lipcu 1980 roku w zakładach pracy Lubelszczyzny pojawiali się „smutni panowie”. Protestujących oraz osoby je wspierające poddano obserwacji – fotografowano, a niekiedy również zatrzymywano i spisywano. Tak na marginesie – jak wynika z informacji MSW dla peerelowskich władz – jako pierwszych wolności pozbawiono – w dniu 4 lipca Andrzeja i Joannę Gwiazdów, jak stwierdzano za „podejmowanie pewnych organizacyjnych czynności oraz przygotowanie materiałów propagandowych nawołujących do przeciwstawiania się decyzjom władz, organizowania bądź popierania przerw w pracy”. Dotykało to głównie działaczy opozycji przedsierpniowej – zazwyczaj były to zatrzymania „na 48 godzin”. Na dłuższe – bez sankcji prokuratora – nie pozwalało prawo. Problem w tym, że często zwolnieni cieszyli się wolnością przez kilka minut, gdyż byli zatrzymywani na kolejne 48 godzin. Jak wynika z danych MSW w lipcu 1980 roku zatrzymać miano 23 osoby, zaś w sierpniu już 159, przy czym część z nich kilkakrotnie.

Co należy podkreślić osoby wspomagające strajkujących represjonowano również w inny sposób np. tak-sówkarzom z Trójmiasta zatrzymano (tylko do 25 sierpnia) 60 koncesji za wspieranie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku. Zatrzymywano również osoby, o których wiadano, że zamierzają one zorganizować strajki lub też „jedynie” nawiązać kontakty ze strajkującymi, szczególnie z gdańskim MKS. Przede wszystkim jednak próbowano unieszkodliwić działaczy opozycji, szczególnie tych najaktywniejszych. Nie tylko ich zatrzymywano, ale również uniemożliwiano im organizowanie spotkań czy zbieranie podpisów pod apelami z poparciem dla protestujących, no i oczywiście kontakt z nimi. W tym przypadku MSW chwaliło się post factum, że *udaremniono w dużym stopniu (poza Gdańskiem) próby szerszego dotarcia elementów antysocjalistycznych do środowisk robotniczych i tym samym nie dopuszczono do eskalacji żądań natury politycznej*. Przechwytywano również drukowane i kolportowane przez opozycjonistów ulotki oraz sprzęt służący do ich powielania. W lipcu Służba Bezpieczeństwa zlikwidowała trzy nielegalne punkty poligraficzne, a w sierpniu kolejne cztery, ogółem w obu miesiącach miano przejąć m.in. dziewięć powielaczy, osiem maszyn do pisania oraz 96 tys. opozycyjnych publikacji, z czego – co ciekawe – większość, bo 68 tys., w lipcu.

Próby wpływania na liderów strajków

Jednocześnie funkcjonariusze SB podejmowali – szczególnie w sierpniu 1980 roku (m.in. w Gdańsku i Szczecinie) – próby wpływania na przywódców strajków. Starali się zresztą docierać do nich osobiście. I tak np. jak wspominał w jednym z wywiadów Lech Wałęsa: *Drugiego dnia strajku przyszedł do mnie esbek i zapropo-*

wał spotkanie z Gierkiem w Pruszczu. Odpowiedziałem: zgoda, ale jeszcze nie teraz. Dajcie mi trochę czasu. Niestety nie wiemy, kim był ów tajemniczy wysłannik. Prawdopodobnie zresztą nie jedyny. Wiadomo, że taki kontakt z Wałęsą (według Stanisława Kani bez powodzenia) próbował nawiązać Adam Krzysztoporowski (wówczas dyrektor Departamentu III MSW), którego celem było „zaaranżowanie rozmów z przywódcą strajku na temat możliwości zakończenia konfliktu”. I nie chodziło prawdopodobnie o to samo zdarzenie, gdyż to opisywane przez Kanię miało miejsce kilka dni później niż to, o którym wspominał Lech Wałęsa – już po niepowodzeniu misji wicepremiera Tadeusza Pyki, ale jeszcze przed przyjazdem do Gdańska wicepremiera Mieczysława Jagielskiego, czyli 19 lub 20 sierpnia. Esbecy próbowali również nawiązać kontakt z Marianem Jurczykiem, który stał na czele szczecińskiego MKS. Problem w tym, że jak stwierdzano potem w jednym z raportów Jurczyk „tłumacząc się brakiem czasu i możliwości, nie skontaktował się z obsługującym go pracownikiem, również i po strajku”...

(Bez)cenna agentura

Oczywiście to właśnie agentura była oczami i uszami, a niekiedy również rękoma Służby Bezpieczeństwa. Wykorzystywano ją do zbierania informacji – szczególnie o sytuacji wśród protestujących robotników oraz planach i działaniach działaczy opozycji, ale również do rozpuszczania pogłoszek np. o przejściu kontroli nad strajkiem w Stoczni Gdańskiej przez „Żydów”, a nawet „narkomanów i ludzi chorych”, rzekomej krytyce protestu przez poszczególnych członków Episkopatu Polski czy ponoć grożące strajkującym w pierwszych dniach ich protestu siłowej pacyfikacji. Innym ważnym zadaniem tajnych współpracowników było „pogłębianie rozbieżności” między strajkującymi zakła-



Władysław Ciasioń FOT. PAP

dami pracy czy też wewnątrz międzyzakładowych oraz zakładowych komitetów strajkowych.

Sprężynka – wielki sukces SB

Niekiedy funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa podejmowali również działania bardziej ryzykowne. Przykładowo, tajny współpracownik o pseudonimie „Robert”, drukujący w sierpniu 1980 roku ulotki i prasę na terenie Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, celowo uszkodził jedną z maszyn drukarskich, na której powielano Strajkowy Biuletyn Informacyjny „Solidarność” – usuwając sprężynkę przy kole zębatym podnośnika papieru. MSW chwaliło się później, że udało się w ten sposób unieruchomić drukarnię na 12 godzin, choć według relacji samego TW maszyna była jedynie częściowo niesprawna.

Przegraną „bój” z opozycją

Mimo niekompletności zachowanych materiałów, można zaryzykować stwierdzenie, że agentura SB nie odegrała decydującej roli ani w lipcu, ani w sierpniu 1980 roku. Na szczęście przypadki tak głęboko zakonspirowa-



Andrzej Gwiazda na sali obrad Międzyzakładowej Komisji Strajkowej FOT. PAP

nych współpracowników jak Andrzej Mazur (pseudonim „Wacław”), jeden z doradców Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Szczecinie, należały do wyjątków. Co więcej, sami funkcjonariusze SB przyznawali, że ich „pozycje operacyjne” – szczególnie w Gdańsku – były niewystarczające. Tłumaczono to wcześniej popełnionymi błędami w działaniach wobec opozycji oraz brakiem zgody ze strony władz partyjnych na przejęcie kontroli nad niektórymi jej odłami za pomocą agentury. W rezultacie, mimo pewnych wcześniejszych sukcesów – jak np. doprowadzenie do odcięcia się Antoniego Sokołowskiego, jednego z współzałożycieli Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża – działania SB miały charakter doraźny i nie przełożyły się na realne osłabienie struktur opozycyjnych w dłuższej perspektywie. Co więcej, zmniejszyły one zdolność operacyjną służby w kluczowym momencie. W efekcie, w sierpniu 1980 roku w Gdańsku to działacze opozycji okazali się szybsi – uprzedzili SB i doprowadzili do „upolitycznienia” postulatów strajkujących, czego symbolem stało się utworzenie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w miejsce dotychczasowego Ko-

mitetu Strajkowego, tuż po podpisaniu porozumienia z dyrekcją Stoczni Gdańskiej.

Nie była to – przynajmniej w przypadku sierpnia 1980 roku – jedyna decyzja polityczna brzemenna w skutki dla działań Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Otóż wspomniany wcześniej Sztab Operacji „Lato 80” zaproponował 26 sierpnia siłowe zakończenie protestów na Wybrzeżu. W ramach tego planu zakładano m.in. blokadę Stoczni Gdańskiej, odblokowanie portu w Gdańsku przy użyciu jednostek Marynarki Wojennej oraz aresztowanie działaczy opozycji w całym kraju. Propozycję Rakowieckiej omawiano dwukrotnie na forum Biura Politycznego KC PZPR, ostatecznie wybierając „mniejsze zło”, jakim była dla rządzących zgoda na utworzenie niezależnych od nich związków zawodowych.

Pacyfikacja, której nie było

Warto dodać, że przygotowania do pacyfikacji strajkujących na szczble MSW były bardzo zaawansowane – m.in. rozpoczęto działania mające na celu przekształcenie resortowego Domu Wypoczynkowego „Eden” w Sopotcie w szpital, a w razie potrzeby także ośrodka kempingowego w tym samym mieście. Co więcej – mimo negatywnej decyzji władz PRL – do Gdańska skierowano oddział milicyjnych komandosów pod dowództwem „osławionego” w latach 80. Edwarda Misztala. Ich zadaniem miało być „oprowadzenie” budynku będącego siedzibą MKS i zatrzymanie członków [Międzyzakładowego] Komitetu Strajkowego”, na czele z Lechem Wałęsą. Warto zauważyć, że ten plan wciąż uznawano w MSW za aktualny jeszcze trzy godziny przed podpisaniem porozumienia gdańskiego – mimo że dzień wcześniej sygnowano już porozumienie szczecińskie. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Osaczony, tropiony, zdradzony.

Kulisy aresztowania „Grota”

TEKST | Waldemar Kowalski

Ulica Spiska 14, warszawska Ochota. Na ścianie stojącego tu budynku, jeszcze w czasach PRL umieszczono pamiątkową tablicę, pod którą składane są kwiaty i palone znicze. Polacy pamiętają o tragicznym losie wielkiego rodaka – gen. Stefana Roweckiego. W tym miejscu, 82 lata temu, rozegrał się dramat legendarnego „Grota”.

Mijały właśnie trzy lata, od czasu gdy gen. Rowecki objął kierownictwo polskiej konspiracji wojskowej, stając na czele Związku Walki Zbrojnej. Odpowiadał odtąd za całokształt walki podziemnej z okupantem. Świadomy wielkiej presji i zadania, jakiego się podjął, musiał czuć na sobie „oddech” Niemców.

Ale feralnego dnia – 30 czerwca 1943 roku – generał nie spodziewał się zasadzki. Rankiem wszedł do mieszkania przy ul. Spiskiej, gdzie mieszkał pod fikcyjnym nazwiskiem – jako Jerzy Malinowski. Wrócił tam, po nocy spędzonej na Powiślu, dosłownie

na chwilę. To wystarczyło, aby wpaść w sidła okupantów. Około 9.30 pod budynek podjechały wojskowe ciężarówki, z których wysiedli podekscytowani funkcjonariusze Gestapo. „Grot”, biegle mówiący w języku wroga, dobrze wiedział, co oznaczają krzyki dochodzące z zewnątrz. Szybko okazało się, że z tej pułapki nie ma już wyjścia...

Wróg numer jeden

Generał Rowecki był najbardziej poszukiwanym przez Niemców działaczem Polskiego Państwa Podziemnego. Jako komendant główny Związku

Walki Zbrojnej, a od lutego 1942 roku dowódca Armii Krajowej, znalazł się na pierwszym miejscu listy 165 rozpoznanych członków polskiego ruchu oporu.

Fotografię „Grota” publicznie eksponowano w warszawskiej siedzibie Policji Bezpieczeństwa (Sipo). Sporządzano nawet rysopis poszukiwanego: „około 50 lat, średniej postury, dobrze zbudowany, ciemny blondyn, angielski wąsik, zdrowa cera”. Nie do końca odpowiadał on prawdzie („Grot” miał ciemne, choć siwiejące, włosy), ale i tak ze względów bezpieczeństwa generał musiał mieć się na baczności.

Zmieniał nie tylko dokumenty, ale i wygląd – z dumnego oficera w mundurze stał się nieco podstarzałym, siwiejącym cywilem. Krótko przystrzyżony, z charakterystycznym wąsem, w okularach, miał po prostu nie rzucać się w oczy. W pewnym momencie rozważał nawet operację plastyczną twarzy!

– Czasem na ulicy podpierał się laską czy dużym męskim parasolem, pozorując prawdziwego starszego pana. Laska owa, jak i parasol spełniały jeszcze dwa zadania. Obie były wydrążone i tam przenosił pilne dla siebie papiery. Ponadto na końcu miały małe wysuwane sztylciki dla obrony własnej – wspominała córka generała Irena Rowecka-Mielczarska.

Paradoksem było to, że generał – choć stał na czele tajnej armii i świetnie znał się na swoim żołnierskim fachu – nie zawsze... przestrzegał zasad konspiracji. Z osobistej ochrony korzystał tylko „służbowo”, prywatnie po mieście natomiast poruszał się bez obstawy. Było to bardzo niebezpieczne, a dla niektórych wręcz lekko-myślne. Henryk Józewski tak oceniał zachowanie „Grota”: „Był wielkim komendantem AK, miał urok osobisty, był moim serdecznym przyjacielem, ale nie był stworzony do konspiracji”.

Mimo to przez długi czas gen. Rowecki wymykał się okupantom, co w znacznej mierze zawdzięczał swojemu sprytowi. – Pamiętam, kiedyś spotkaliśmy się w już nieistniejącej cukierni „Kolorowa” na rogu Żurawiej i Brackiej. Przyszedł zziębnięty, zmęczony i widząc moje zdumienie, powiedział, wycierając chusteczką spoczone czoło: „Ktoś mnie tropił i aby zgubić niepożądanego »opiekuna«, rozpuściłem nogi i przebiegłem prawie całą al. Waszyngtona” – relacjonowała córka generała.

Innym razem – czytamy w jej wspomnieniach – „Grot” wykazał się świetnym zmysłem obserwacji, na czas neutralizując zagrożenie. – Je-

chaliśmy tramwajem, rozmawiając półgłosem. Nagle, przytrzymując mnie za rękę, szepnął: „Ten typ z lewej znowu mi się przygląda. Uciekam! Pamiętaj, jak wysiądziesz na przystanku, sprawdź, czy kto za tobą podąża. Cześć! – I już go nie było. W biegu wyskoczył z tramwaju”.

Sto tysięcy za bohatera

Początkowo okupanci mylili „Grota” z Janem Kruszewskim, generałem Wojska Polskiego pojmanym w 1939 roku do niewoli. Krakowska placówka Abwehry alarmowała: Nie został aresztowany gen. Jan Kruszewski. W odniesieniu do jego osoby ustalono już dotychczas następujące szczegóły:

Za wydanie dowódcy AK Niemcy wyznaczyli nawet nagrodę w wysokości 100 tys. złotych!

K. był poprzednio dowódcą polskiego Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP). Mówi płynnie po niemiecku, posiada niemiecki paszport i nosi odznakę partyjną NSDAP. W czasie swoich podróży koleją otoczony jest stale strażą złożoną z kilku wiernych mu ludzi.

Na trop rzeczywistego komendanta ZWZ Niemcy wpadli na początku 1940 roku. Najprawdopodobniej został zdekonspirowany przypadkowo, za sprawą kurierów i emisariuszy przybywających do okupowanego kraju z Zachodu.

Polskie podziemie – świadome zagrożenia – próbowało wprowadzić Niemców w błąd. Według jednej z wersji generał wyjechał za Ocean, gdzie wiodł spokojne życie jako cywil. Miał być też widziany na krańcu Europy, w Portugalii, skąd – w grudniu 1940 roku – rzekomo wysyłał list do okupowanej Warszawy. W kore-

spondencji, adresowanej do byłego podkomendnego – Szczęsnego Chojnackiego, „Grot” prosił o nawiązanie kontaktu ze swoim bratem Stanisławem Roweckim.

– Przeszedłem w tym roku znacznie więcej ciężkich chwil, niż w czasie września 1939. Przedzieranie się przez dziki wschód, aresztowanie, później choroba tyfusu, z której ledwie wyszedłem, zaciągnęły się na miesiące. Dopiero późną jesienią znalazłem się w Ameryce, gdzie po trochu dochodzę do sił i równowagi. Co za szalona różnica obecnych moich warunków w Kanadzie, a tego wszystkiego, co ostatnio widziałem i przeżyłem. Czuję się jak w raju po piekle dni wczorajszych – zwierzał się generał, który był rzeczywistym autorem listu. Podstęp polegał na tym, że do Lizbony przerzuciono go za pośrednictwem kuriera, a następnie... wysłano do Warszawy.

Inny fałszywy trop, który miał zwieść nieprzyjaciela, wiodł do Francji. Jak rozgłaszano, po klęsce w wojnie obronnej 1939 roku Rowecki miał stanąć tam na czele jednej z dywizji piechoty. W międzyczasie rodzina próbowała upozorować zaginięcie „Grota”. Jego córka, Irena, już jesienią 1939 roku w Warszawie rozlepiła na ulicach ulotki z pytaniem: *Kto wie o losach płk. Stefana Roweckiego, ostatnio widzianego w Lubelskiem?*

Za wydanie dowódcy AK Niemcy wyznaczyli nawet nagrodę w wysokości 100 tys. złotych! Szczególnie kuszoną nią jego byłych współpracowników i towarzyszy broni, zwolnionych z niemieckich obozów jenieckich w wiadomym celu... – Ludzie z najbliższego otoczenia „Grota” twierdzili, że już w lutym skarżył się on, że robi się dookoła niego „ciasno” (znam to uczucie). Nasz kontrwywiad posiadał informacje, że Gestapo wyszukuje ludzi, którzy kiedykolwiek stykali się z nim służbowo, i nawet demonstruje im jego fotografie na ekranie – informował płk Jan Rzepecki.

Dowódca AK nie zamierzał jednak schodzić z posterunku, choć jego brat – Stanisław – twierdził, że na przełomie lat 1942 i 1943, gdy życie „Grota” było już poważnie zagrożone, proponowano mu bezpieczne opuszczenie okupowanego kraju: *Gdy w Londynie dowiedziano się o rozszyfrowaniu generała „Grota” przez Gestapo i wywiad Wehrmachtu, przysłała z Anglii sugestia do Komendy Głównej AK, aby mój brat na jakiś czas wyjechał z Polski do Anglii. Miałem z nim na ten temat rozmowę. Odpowiedzi generała można było się spodziewać. – Nie zostawię moich żołnierzy, tak jak i ja w każdej chwili narażonych na schwytanie przez Niemców, męczarnię i śmierć. Daj mi Boże, że jeszcze poprowadzę ich do walki otwartej z tym draństwem niemieckim – miał odrzec „Grot”.*

Do tropienia generała Niemcy zaangażowali liczne siły. Śledztwo w sprawie „niebezpiecznego” Polaka prowadziły Policja Bezpieczeństwa (SiPo) oraz Tajna Policja Polityczna (Gestapo). Był też pod stałą obserwacją niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego (Abwehry). Okupanci otoczyli „obiekt” siatką dobrze opłacanych konfidentów. Prędko czy później bohater musiał wpaść w zasadzkę...

Wydany przez znajomego

30 czerwca 1943 roku całym polskim podziemiem wstrząsnęła wieść o aresztowaniu „Grota”. Ale Niemcy nie świętowaliby tego sukcesu, gdyby nie troje polskich zdrajców.

Dziś wiemy, że dowódcę AK wydało troje podopiecznych szefa kontrwywiadu warszawskiego Gestapo – Ericha Mertena. Mowa o agentach Gestapo w AK: Ludwiku Kalksteinie, jego żonie Blance Kaczorowskiej i Eugeniuszu Świerczewskim. Ten trzeci, który znał Roweckiego jeszcze z czasów wojny z bolszewikami, odegrał w całym planie kluczową rolę, zawi-

adamiając Gestapo o miejscu pobytu gen. Roweckiego.

Wcześniej „przypadkiem” wpadł na niego na ulicy (ostatnią noc przed aresztowaniem generał spędził na Powiślu), a następnie śledził go, upewniając się, że wejdzie do kamienicy przy ul. Spiskiej 14, gdzie mieszkał pod przybranym nazwiskiem.

W 1953 roku przed bezpieczeństwem Kalkstein relacjonował: *Świerczewski, po wyjściu z domu, z rana spotkał Roweckiego na Solcu, zaczął prowadzić za nim obserwację. Tramwajami dojechał za Roweckim do pl. Narutowicza i tam Rowecki skręcił w jedną z ulic, o ile pamiętam – w ulicę Spiską i zatrzymał się w jednym z domów.*

Dzięki temu Niemcy mogli sprawnie zorganizować obławę, zamknąć całą ulicę i osiągnąć wyznaczony cel. W całej akcji wzięło udział ok. 100 policjantów. Aresztowany nie spodziewał się „wsypy”. Do mieszkania na Ochocie wrócił na krótko. Niebawem miał wziąć udział w zaplanowanej odprawie oficerów Komendy Głównej AK przy ul. Barskiej.

Tymczasem, wskutek denuncjacji, wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. W gronie wyprowadzonych na zewnątrz mieszkańców kamienicy przy ul. Spiskiej znalazł się lokator spod „10” – Jerzy Malinowski. W pewnym momencie podszedł do niego dowódca akcji, ppor. Erich Merten, trzymając w ręku przedwojenną fotografię „Grota”. Wygląd się zgadzał... Generał nie stawiał żadnych oporów.

Inny przebieg akcji przedstawił folksdojcz i agent Gestapo Alfred Milke, który po wojnie zeznał: *W lecie 1943 r., dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się w godzinach rannych brałem osobiście w akcji aresztowania kom. gł. AK gen. Grota. Do akcji wyjechała prawie cała załoga Gestapo z al. Szucha, wzmocniona oddziałem wartowniczym złożonym z kozaków. Obstawiliśmy wtedy cały blok domów przy ul. Spiskiej, ja osobiście byłem na tyłach domu*

– po długich przeszukiwaniach mieszkań śladów poszukiwanego nie odnaleziono. Już miano zakończyć poszukiwania, kiedy któryś z poszukujących zauważył, że brak windy. Okazało się, że gen. Grot ukrył się w windzie między piętrami.

Niezlomny w obliczu zdrady

Komenda Główna AK, z wiadomych przyczyn, nie rozgłaszała informacji o aresztowaniu swego dowódcy. Natomiast podziemny kontrwywiad błyskawicznie zajął się ustalaniem przyczyn i okoliczności aresztowania „Grota”.

Zaraz po ujęciu, generał został przewieziony do gmachu Gestapo w Alei Szucha, gdzie – unosząc się z radości – Niemcy ponoć strzelali korkami od szampanów. Polski bohater, mimo osobistej tragedii, zachował niezłomną postawę.

Zaświadczył o tym nawet kat warszawskiego getta, Jürgen Stroop, który w 1949 roku, zdał relację współwięźniowi – Kazimierzowi Moczarskiemu: *Zobaczyłem generała „Grota” w pokoju przyległym do gabinetu Hahna. Przyjrzałem mu się przez otwarte drzwi. Stał frontem do mnie, ale patrzył w okno. Był niezwykle poważny i spokojny. Muszę przyznać, że zrobił na mnie duże wrażenie. Cywil, ale od razu widać, że wojskowy najwyższej klasy. Zmęczony, twarz ściągnięta, lecz dziwnie pogodny w swym spokoju.*

Głęboko przejęty losem gen. Roweckiego był gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, który tak wspominał tragiczny dzień 30 czerwca: *W południe spotkałem przypadkowo jednego z polityków, znanego mi dobrze z podziemia. Był on wyraźnie podniecony i zdenerwowany. Zakomunikował mi bez wstępów, co następuje: Przed chwilą rozmawiałem z kimś, kto dopiero co wyszedł z kwatery głównej Gestapo przy alei Szucha. W czasie przesłuchania, na które go wezwano,*

wpadł nagle do pokoju jakiś wysokiej szarży gestapowiec i zameldował przesłuchującemu oficerowi szeptem coś, co wywarło na tym oficerze wiel-



W gronie wyprowadzonych na zewnątrz mieszkańców kamienicy przy ul. Spiskiej znalazł się lokator spod „10”

kie wrażenie, bo wstał, uściśnął tamtemu rękę, powiedział „Ich gratuliere Ihnen” i zamówił pilną rozmowę z Berlinem.

– Przesłuchanie natychmiast przerwano – czytamy dalej we wspomnieniach następcy „Grota” na stanowisku dowódcy AK – odsyłając badanego do domu. Kiedy ten, zadowolony, wyszedł z pokoju, oczom jego przedstawił się niezwykle widok. Po korytarzach biegali urzędnicy, maszyniści i niżsi funkcjonariusze Gestapo w stanie szczególnego podniecenia. Większość z nich zdążyła w kierunku schodów, gestykułując i rozprawiając głośno, co było w tym urzędzie niezwykle. Słyszał powtarzane gratulacje i coś, co brzmiało jak „wreszcie koniec z tą całą konspiracją”. Było parę minut po jedenastej. Kiedy już wycho-

dził z budynku, zobaczył, jak pod silną strażą prowadzono jakiegoś człowieka. Był skuty, ale szedł z podniesioną głową i pewnym krokiem. Musiała to być jakaś ważna osobistość – zakończył mój informator i podał mi rysopis aresztowanego. Wiadomość ta mnie również mocno zaniepokoiła. Opis aresztowanego i jego ubrania przypominał mi „Grota”, generała Roweckiego”.

Nie winił nikogo

Prawdopodobnie jeszcze 30 czerwca – w obawie przed próbą odbicia więźnia przez AK – „Grot” został przetransportowany samolotem do Berlina i tam osadzony w siedzibie tajnej policji. W drugiej połowie lipca przewieziono go do obozu Sachsenhausen, gdzie przebywał w specjalnym bunkrze, tzw. Zellenbau, przeznaczonym dla „więźniów honorowych”.

Niemcy kilkakrotnie proponowali mu współpracę, kusząc udziałem w „krucjacie antybolszewickiej”, jednak za każdym razem „Grot” odmawiał. W międzyczasie władze RP w Londynie bezskutecznie naciskały Zachód na interwencję w sprawie wymiany dowódcy AK na więźniów niemieckich. Dwa razy – o czym informowali jego współwięźniowie – generał planował ucieczkę z obozu.

Podczas uwięzienia w Sachsenhausen Rowecki wyraźnie niedomagał, a o swojej ciężkiej chorobie informował zamieszkałą w Warszawie kuzynkę, z którą korespondował listownie. Wybuch Powstania Warszawskiego najprawdopodobniej przesądził o jego losie. Według ustaleń śledztwa Instytutu Pamięci Narodowej, został zamordowany między 2 a 7 sierpnia 1944 roku na specjalne polecenie Heinricha Himmlera. Zginął najprawdopodobniej na terenie obozowego krematorium.

Jeszcze niespełna miesiąc wcześniej, 10 lipca, Himmler pisał w jednej z notatek o propozycji złożonej Hitle-

rowi, dotyczącej „wykorzystania generała Roweckiego do zneutralizowania polskiego ruchu oporu”. Führer osobiście – podkreślił Himmler – rozważał ten problem, zdecydował jednak następnie, że eksperyment taki byłby zbyt niebezpieczny, gdyż Rowecki bez wątpienia odznacza się osobowością wodza i można by tu łatwo stworzyć przeciwko sobie zbyt wielkiego przeciwnika. Führer wskazał przykład Piłsudskiego.

Aresztowanie „Grota” było jednym z największych sukcesów Niemców, którzy spowodowali istne „trzęsienie ziemi” w polskim podziemiu.

– Rok 1943 był okresem szczytowego rozwoju ruchu oporu. Jednakże w tym roku był on też szczególnie systematycznie i jak najostrzej zwalczany. W lutym 1943 roku udało się zaaresztować mianowanego przez Londyn delegata polskiego rządu narodowego [Jana Piekalkiewicza – red.], dzięki czemu ujawnione zostały dalekosiężne plany ruchu oporu. Policji bezpieczeństwa i SD udało się wymierzyć cios jeszcze bardziej dotkliwy: w dniu 30 czerwca 1943 r. aresztowany został w Warszawie szef polskiej Armii Krajowej generał Rowecki. Wskutek tego ruch oporu został tak osłabiony, że musiał zrezygnować z większego powstania przeciwko niemieckiemu panowaniu – pisał w grudniu 1944 roku, w specjalnym raporcie, gubernator dystryktu warszawskiego gen. Ludwig Fischer.

Tymczasem gen. Rowecki do końca swych dni nie winił nikogo za swoje ujęcie, widząc w nim efekt nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. W jednym z listów z Sachsenhausen pisał: – Zostałem aresztowany przypadkowo, przez rozpoznanie na ulicy – co wiem na pewno. Trzeba, aby o tym ogólnie ludzie wiedzieli. Nie ma winnych mojej wpadki w ogóle... ■



◀ Kamienica przy Krupniczej 10 w Krakowie, stan obecny FOT. DOMENA PUBLICZNA

TEKST | Norbert Nowotnik

Roman Martini i falsyfikat „Tartakowa”

Zbrodnia katyńska przez dziesięciolecia pozostawała jedną z najbardziej zakłamanych kart historii XX wieku. Choć dziś wiadomo już bezspornie, że to funkcjonariusze NKWD wiosną 1940 roku zamordowali prawie 22 tysiące polskich jeńców wojennych i więźniów politycznych, to po 1945 roku władze Polski Ludowej z pełnym przekonaniem podtrzymywały fikcję o niemieckiej odpowiedzialności za tę straszną zbrodnię. Czy wbrew tej oficjalnej narracji działał prokurator dr Roman Martini, prowadzący pierwsze powojenne śledztwo w sprawie Katynia?

Przywódcy Polski Ludowej, pod silnym wpływem ZSRS, przez wiele lat oficjalnie zaprzeczali sowieckiej odpowiedzialności za Katyń, przypisując winę Niemcom i używając cenzury do ukrywania prawdy o zbrodni.

– *Bywają sytuacje, kiedy w imię najżywotniejszych interesów narodu nawet brudne kłamstwo należy przy-*

brać w szaty prawdy – stwierdził odnosząc się do tej sprawy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, który przyznał w swoich pamiętnikach, że w sprawie katyńskiego ludobójstwa kontynuował linię polityczną poprzednika. To bowiem za czasów Bolesława Bieruta jako przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, czyli faktycznego przywódcy komunistycz-

nych władz w Polsce, wszczęto pierwsze „polskie” śledztwo katyńskie. Postępowanie karne, którego jedynym celem było przypisanie winy Niemcom, przerwała jednak śmierć – gwałtowna, tajemnicza i dziś już niemal całkiem zapomniana – 36-letniego prokuratora Romana Martiniego, który osiem dekad temu miał wejść w posiadanie tajnego dokumentu NKWD z 10 czerwca 1940 roku. Był to tzw. raport Tartakowa, czyli kierownika obwodowego zarządu NKWD w Mińsku, który potwierdzał likwidację so-

wieckich obozów jenieckich w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku wiosną 1940 roku.

Śledczy z Kielc

Roman Martini urodził się 5 kwietnia 1909 roku w Szczakowej – na pograniczu Śląska i Małopolski – i po studiach prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także uzyskaniu ty-

17

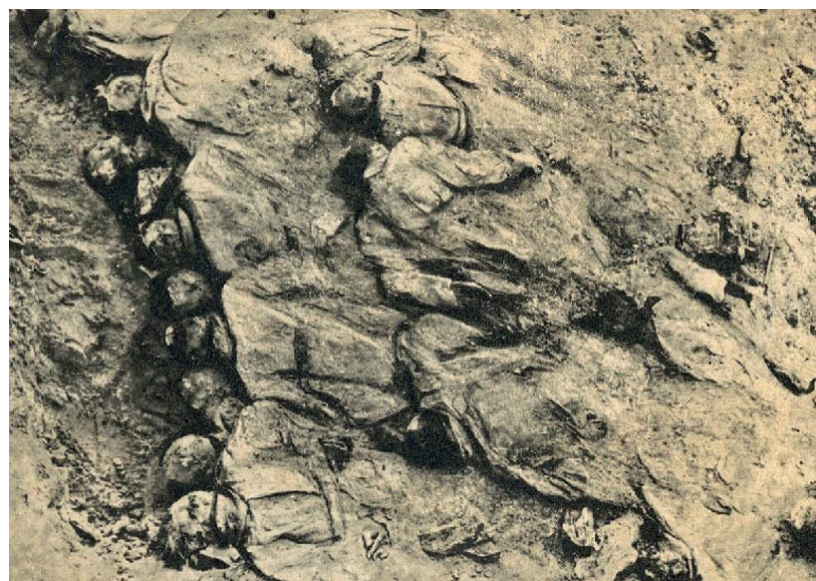
Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Formalnie śledztwo to wszczęto 25 czerwca 1945 roku z artykułu 1 par. 2 dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 roku „O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego”. Chodziło o postępowanie przeciwko Ferdynandowi Goetlowi, Janowi Emilowi Skiwskiemu, Marianowi Wodzińskiemu i Franciszkowi Urbanowi Prochownikowi, którym zarzucano współpracę z Niemcami, a przede wszystkim udział w działaniach propagandowych III Rzeszy, mających na celu szerzenie wśród Polaków informacji o sowieckiej odpowiedzialności za mord katyński.

– Prokurator Martini otrzymał takie zalecenia z Warszawy i dokładnie je wykonywał. Nie tylko w Krakowie, ale w całym kraju odbyły się przesłuchania prowadzone na zlecenie krakowskiej prokuratury. Poszukiwano wszystkich Polaków, którzy byli przewiezieni w 1943 roku do Katynia przez Niemców – oceniła w tekście o krakowskim śledczym historyk Maria Leś-Runicka. Podkreśliła też, że Goetel, który był jedną z takich osób, nielegalnie opuścił wówczas kraj w obawie o swoje życie. – Nie mogąc do niego dotrzeć, przesłuchiowano innych pisarzy, m.in. Marię Dąbrowską, Czesława Miłosza i wielu innych pisarzy. Literaci nie mieli jednak wiedzy na temat Katynia, byli więc pytani o zachowanie Goetla w czasie okupacji, o przypadki zdrady lub kolaboracji w środowisku pisarzy. Wyniki tych przesłuchań posłużyły do opracowania aktów oskarżenia Ferdynanda Goetla i Jana Emila Skiwskiego o zdradę narodową i kolaborację – dodała.

„Dowód niewygodny” – raport Tartakowa

Według niektórych relacji Martini miał też natrafić na dokumenty sugerujące bezpośrednią odpowiedzialność

Sowietów, w tym opatrzony adnotacją „TAJNE” tzw. raport Tartakowa – dokument NKWD, zawierający informacje dotyczące decyzji o li-



Pierwsze ekshumacje ofiar zbrodni odbyły się wczesną wiosną 1943 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

kwidacji polskich oficerów wziętych do niewoli po agresji ZSRS na Polskę we wrześniu 1939 roku. Mało tego, prokurator miał też odnotować rozbieżności w zeznaniach, nieścisłości w dokumentach niemieckich i brak spójności w propagandzie sowieckiej. Informacje te, gdyby się upowszechniły, mogłyby zdecydowanie podważyć fundamenty oficjalnej propagandy i zagrozić wizerunkowi Związku Sowieckiego jako „wyzwolicieła” Polski.

Dokument jest krótki. – Z rozporządzenia Głównego Urzędu NKWD z dnia 12-go lutego 1940 roku została dokonana likwidacja trzech obozów polskich jeńców wojennych, a mianowicie w rejonach m. Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska. Akcja likwidacji wymienionych obozów była zakończona 6 czerwca r.b. [1940 roku – red.] – czytamy, by w dalszej części poznać więcej szczegółów na temat charakteru likwidacji w każdym z trzech obozów. – Na podstawie wyżej wymienionego rozkazu, zlikwidowany został w pierwszej kolejności

w okresie od 1 marca do 3 maja r.b. w rejonie m. Smoleńska, obóz Kozielsk, przez organy Mińskiego Urzędu NKWD. W charakterze osłaniających Oddziałów użyte zostały jednost-

ki wojsk terytorialnych, w szczególności 190 pułku strzeleckiego. Druga akcja na podstawie wyżej wymienionego rozkazu dokonana była przez organy Smoleńskiego Urzędu NKWD, w rejonie miasta Bołogoj, pod ochroną jednostek 129-go pułku strzelców (Wielkie Łuki) i zakończona 5 czerwca br. Przeprowadzenie trzeciej akcji likwidacji obozu Starobielsk poruczone zostało Charkowskiemu Urzędowi NKWD, które to zadanie wypełniono w rejonie osady Dergacze i zakończono 2-go czerwca przy wykorzystaniu dla ochrony jednostek 68-go ukraińskiego, strzeleckiego pułku terytorialnych wojsk. W danym wypadku odpowiedzialnością za wykonanie tej akcji obarczony został pułkownik NKWD tow. B. Kuczkow – głosi dokument, pod którym podpisał się Tartakow jako szef NKWD w Mińsku. Dodano w nim jeszcze, że jego kopie mieli otrzymać do wiadomości wysocy funkcjonariusze NKWD – gen. Wasilij Zarubin i gen. Leonid Rajchman.



Śmierć prokuratora Martiniego, choć owiana sensacyjnymi hipotezami, była prawdopodobnie zwykłym przestępstwem, a nie częścią spisku
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Co ciekawe, dokument ten został opublikowany dopiero 20 lipca 1957 roku w niemieckim tygodniku „7 Tage” (Karlsruhe, rocznik 10, nr 30), a następnie przetłumaczony na inne języki, w tym na polski. W reakcji zaczęto snuć przypuszczenia, że został przypadkowo przejęty lub znaleziony przez polskich urzędników po wejściu Armii Czerwonej, a następnie przekazany Martinemu w ramach materiału dowodowego. W kolejnych latach od tego „odkrycia” historycy i badacze zgodnie jednak uznali raport Tartakowa za ewidentny falsyfikat. Wskazali na liczne błędy formalne i merytoryczne w dokumencie, niezgodności z rzeczywistą strukturą i praktyką działania sowieckiej bezpieki, a także fakt, że w 1940 roku naczelnikiem Zarządu NKWD obwodu mińskiego był Iwan Ptaszkin, a nie Tartakow. – *Autor czy autorzy falsyfikatu nigdy w życiu nie widzieli prawdziwego dokumentu wytworzonego przez organa NKWD* – ocenił historyk i politolog prof. Krzysztof Jasiewicz z Instytutu Studiów Politycznych PAN.

Zabójstwo z premedytacją?

Jednak kolejne wątpliwości wywołała niespodziewana śmierć prokuratora, który 30 marca 1946 roku został znaleziony w wynajmowanym mieszkaniu w Krakowie, z ciężko zmasakrowaną głową (poprzez uderze-

nia kluczem monterskim) oraz ranami klutymi klatki piersiowej i szyi. – *W nocy z soboty na niedzielę w mieszkaniu przy ulicy Krupniczej 10 został zamordowany przez niezna-*



Ręce ofiar były krępowane przed egzekucją
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Autor czy autorzy falsyfikatu nigdy w życiu nie widzieli prawdziwego dokumentu wytworzonego przez organa NKWD

nych sprawców dr Roman Martini, prokurator Sądu Specjalnego w Krakowie. Prokurator dr Martini został uderzony w głowę, na skutek czego pękła czaszka i wypłynął mózg. Energiczne śledztwo w toku – głosi notatka prasowa z 1 kwietnia 1946 roku, którą zamieścił „Dziennik Polski”. Znów jednak wszystko wskazuje na to, że Martini padł ofiarą pospolitego przestępstwa – został zadźgany nożem przez młodą dziewczynę i jej narzeczonego. Motywacja miała być osobista: rzekomo odrzucone uczucia, zazdrość, chęć odwetu. Mimo to pod

koniec lat 40., a zwłaszcza po publikacji sensacyjnego „raportu” w 1957 roku, opinia publiczna zaczęła snuć wątpliwości. Przede wszystkim dotyczyły one wyjątkowego okrucieństwa zbrodni i jej niespodziewanego charakteru. Pojawiły się podejrzenia, że sprawcy mogli działać na zlecenie, że zostali zmanipulowani lub zastraszeni. Przekonywano, że wersja o zwykłym przestępstwie była wygodna dla władz, które miały interes w tym, by uciszyć osobę posiadającą wiedzę niezgodną z oficjalną narracją o Katyniu. Zabójstwo Martiniego miało więc wpisywać się w szerszy kontekst eliminowania ludzi niewygodnych dla systemu komunistycznego.

– *Do dzisiaj wiele osób twierdzi, że Roman zginął, bo podczas wyjazdu do Mińska czy Smoleńska odnalazł dokumenty oskarżające Rosjan. Nie słyszałam nigdy o podróży męża do Związku Radzieckiego. Nie wyjeżdżał po ślubie, a wcześniej znaliśmy się jakiś czas i nigdy nie było mowy o jego zagranicznych podróżach. Wspomniałby o tym bodaj słowem, wygadał się przy jakiejś okazji do mnie czy do kolegów* – wspominała w 1989 roku Stanisława Martini, odnaleziona w Jarosławiu przez autorów książki „Powrót do Katynia”.

Dziś postać prokuratora od powojennego śledztwa katyńskiego pozostaje jedynie jednym z wielu elementów złożonej układanki – człowiekiem uwikłanym w powojenną grę propagandową, której celem było podtrzymanie wersji narzuconej przez Związek Sowiecki. Jego śmierć, choć owiana sensacyjnymi hipotezami, była najprawdopodobniej zwykłym przestępstwem, a nie częścią spisku. Niezależnie od prawdziwych okoliczności, sprawa Martiniego przypomina, jak wielkie znaczenie w pierwszych latach Polski Ludowej miała propaganda, kształtująca wiedzę społeczeństwa o jednej z najtragiczniejszych zbrodni II wojny światowej. ■



TEKST | Piotr Wierzbicki

Nauczyciele i związkowcy w szeregach Armii Krajowej

„Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej (...) i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił”.

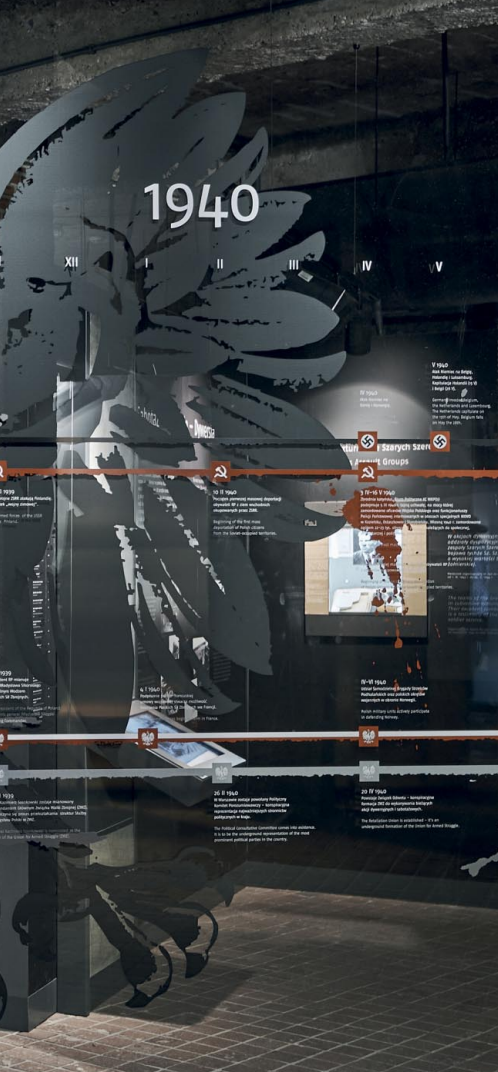
z przysięgi żołnierza Armii Krajowej

W czasie II wojny światowej nauczycielstwo polskie, podobnie jak i sam Związek Nauczycielstwa Polskiego, zapłaciły wysoką cenę za opór stawiany zarówno najeźdźcy hitlerowskiemu, jak i sowieckiemu. Wymownym symbolem stało się powołanie do życia w Warszawie Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON) w październiku 1939 roku, która stała się częścią Polskiego Państwa Podziemnego (PPP) i zajmo-

wała się tajnym nauczaniem. Jednocześnie nie tylko w wymiarze tajnego nauczania związkowcy i nauczyciele działali na rzecz obrony tożsamości i niepodległości państwa polskiego. Warto zaznaczyć, że ich zaangażowanie było o wiele szersze, a obraz represji także znacząco wykraczał poza te związane z prowadzeniem podziemnej edukacji.

Nauczyciele, obok prowadzenia tajnych kompletów, często byli zaangażo-

wowani w konspirację ZWZ-AK i Szare Szeregi. Oprócz symbolicznej dla tej aktywności rodziny nauczycielskiej Bytnarów, związanej od przedwojnia z ZNP, byli też inni – Smulikowscy, Praussowie, Budzanowscy czy Opałkowie na wschodzie Rzeczypospolitej. Rzesze nauczycieli zaangażowanych w struktury TON były jednocześnie żołnierzami SZP-ZWZ-AK – zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Warto wymienić na wstępie Annę Zawadzką,



FOT. MUZEUM AK W KRAKOWIE

siostrę Tadeusza Zawadzkiego ps. Zośka, prof. Kazimierza Kumanieckiego, członka kierownictwa Akcji „N” BIP KG AK, czy ks. Stefana Piotrowskiego, kapelana AK, działającego w podziemiu podobnie jak Stefan Wyszyński, późniejszy prymas Polski. Należy przy tym zaznaczyć, że TON obejmował również kształcenie na poziomie podchorążówek, które objęło kilkanaście tysięcy elewów, a także studia medyczne i wiele innych dziedzin. Ten element stanowił istotny wkład nauczycielstwa w walkę zbrojną, ponieważ wykształceni w ten spo-

sób podoficerowie w latach 1943–1944 brali udział w bezpośrednich walkach z okupantem podczas Akcji „Burza” i Powstania Warszawskiego. Czas największej aktywności TON przypadł na lata 1943–1945.

Do nauczycieli związanych także z ZNP, a działających w strukturach podziemnej armii, można zaliczyć Adama Smulikowskiego (1906–1989), członka Zarządu Głównego ZNP, syna



Tajne komplety z chemii – ćwiczenia z wiskozymetrem w mieszkaniu państwa Poganych w Krakowie w oficynie przy ul. św. Marka 8. Z prawej: dr Jerzy Gierula z Agatą Pogany, tyłem siedzi Tadeusz Pietraszek, z lewej stoi Zofia Czajka i siedzi Danuta Raskówna-Bielecka (w okularach)
FOT. ZBIORY RADY UCZELNIANEJ AGH ZNP

Nauczyciele, obok prowadzenia tajnych kompletów, często byli zaangażowani w konspirację ZWZ-AK i Szare Szeregi

wiceprezesa Związku Juliana Smulikowskiego (1880–1934). Adam, żołnierz wojny obronnej 1939 roku, działał w strukturach łączności AK, m.in. jako organizator tras kurierskich – był odpowiedzialny za przerzut kurierów do kraju, wśród których znaleźli się m.in. Jan Nowak-Jeziorański i Jan Kar-ski. Kolejny przykład to Aleksander Kamiński (1903–1978), żołnierz AK,

twórca i redaktor naczelny „Biuletynu Informacyjnego” – naczelnego organu prasowego Komendy Głównej AK, najbardziej poczytnego pisma podziemnej Europy, uczestnik Powstania Warszawskiego, ideowy twórca Szarych Szeregów, autor „Kamieni na szaniec”, oficer AK, a po wojnie wykładowca akademicki. Dalej mamy Zdzisławę Bytnar (1901–1994) ps. Sławka, uczestniczkę Powstania Warszawskiego, cenzorkę powstańczej poczty polowej. Jej syn, członek Szarych Szeregów Jan Bytnar (1921–1943) ps. Rudy, został zamęczony przez Gestapo, a córka Danuta (1924–2008), po mężu Dziekańska, po ucieczce z Warszawy była łączniczką AK na Kielecczyźnie podczas Akcji „Burza”. Innym przykładem jest Maria Mileska (1908–1988) ps. Jaga, pochodząca z Krakowa skarbniczka ZNP. Działała w podziemiu w Warszawie, potem walczyła w Powstaniu Warszawskim, była referentką łączności, a następnie szefową sanitariuszek w Śródmieściu. Tuż przed kapitulacją powstania została mianowana przez dowództwo AK komendantką kobiet jeńców i otrzymała stopień porucznika. Do walczących na pierwszej linii w powstaniu należy zaliczyć członków rodziny Budzanowskich, a szczególnie Teofila Budzanowskiego (1893–1951) ps. Tum, legionistę, żołnierza wojny 1920 roku, posła na sejm II RP, zastępcę dowódcy Zgrupowania „Kryśka”. Teofil od 1939 roku działał w SZP-ZWZ-AK, a jako członek ZNP organizował struktury tej organizacji w Łomży. Jego córka Maria (1930–1988) ps. Gnom broniła w 1939 roku Grodna przed bolszewikami, potem należała do AK, podobnie jak jego synowie: Tadeusz (1922–1950) ps. Tumek i Andrzej (1918–1993) ps. Szymon. Cała rodzina wzięła udział w Powstaniu Warszawskim.

Nie można zapomnieć, że nauczyciele brali udział w Akcji „Burza” na obszarach wschodnich II RP. W ope-



W październiku 1939 r. powołano w Warszawie Tajną Organizację Nauczycielską (TON), która stała się częścią Państwa Podziemnego. Zajmowała się tajnym nauczaniem
FOT. DOMENA PUBLICZNA

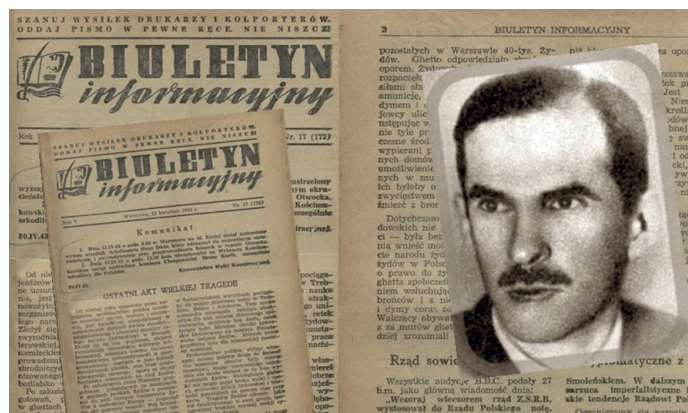


Zdzisława Bytnar ps. Sławka, matka Jana Bytnara „Rudego”, podporucznik AK, powstaniec warszawski, działaczka TON. Ukończyła szkoły krakowskie, twórczyni pierwszej szkoły specjalnej w Warszawie, szefowa Powstańczej Poczty Polowej. Odznaczona Orderem Odrodzenia Polski, Polonia Restituta i Krzyżem Powstania Warszawskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wśród uczestników „Burzy” nie zabrakło też kobiet, np. Zofii Orliczowej (1898–1999), przedwojennej działaczki ZNP, porucznika AK o pseudonimie Krystyna lub Zofia. Związana z Lwowem, była łączniczką Okręgu Lwowskiego AK, brała udział w walkach o miasto w lipcu 1944 roku w ramach Akcji „Burza”, działała także w tajnym nauczaniu. Po wojnie, prześladowana przez Urząd Bezpieczeństwa, zamieszkała w Poznaniu, gdzie pracowała w oświacie. Otrzymała Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari, Krzyż Walecz-



Maria Irena Mileska ps. Jaga, porucznik Armii Krajowej, powstaniec warszawski, działaczka TON, członkini krakowskiego ogniska ZNP, absolwentka UJ, doktor geografii, komendantka Chorągwi Krakowskiej ZHP. Odznaczona Krzyżem Walecznych FOT. DOMENA PUBLICZNA



Aleksander Kamiński i strony „Biuletynu Informacyjnego” dotyczące powstania w getcie warszawskim w 1943 r. FOT. ARCHIWUM „GŁOSU NAUCZYCIELSKIEGO”

racji „Ostra Brama” – w szeregach 3. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej – o Wilno walczył prof. Witold Czarnecki (1927–2023) ps. Kadet, żołnierz por. Gracjana Froga „Szczerbca”. Za swoją walkę doświadczył zesłania do sowieckich łagrów w Kałudze, Liudinowie i Tichanowej Pustyni, co opisał we wspomnieniach „Żyłem ciekawie”. Otrzymał wiele odznaczeń, m.in. Krzyż Armii Krajowej, Medal Wojska „Polska swemu obrońcy” i Odznakę Akcji „Burza”.

Kolejna postać to Kazimierz Stanisław Leszczyński (1926–2017) ps. Czarny, który od września 1941 roku służył w Batalionach Chłopskich na Lubelszczyźnie, w obwodzie II w gminie Kraśnik, Okręg IV, u mjr. Bolesława Reszta. Tam też, późną wiosną i latem 1944 roku, brał udział w Akcji „Burza”. Za zasługi na polu walki zo-

stał odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Po wojnie był nauczycielem, członkiem ZNP, założycielem zespołu folklorystycznego przy Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, otrzymał Złotą Odznakę Związku.

Józef Karol Kucza (1907–1977) ps. Góra w latach 1940–1945 aktywnie działał w ruchu oporu, dowodził plutonem w Oddziale Partyzanckim 15 (OP-15), operującym na terenie powiatu krośnieńskiego. Część tej jednostki utworzyła partyzancką Republikę Iwonicką. Brał udział w wielu akcjach, w tym w Akcji „Burza”, był również współorganizatorem i wykładowcą w Tajnej Szkole Podchorążych w Miejscu Piastowym. Po wojnie pracował w edukacji w Krośnie, był członkiem ZNP. Został odznaczony licznymi medalami, m.in. Krzyżem Armii Krajowej.

nych, Krzyż Armii Krajowej i Krzyż Partyzancki.

Z lwowskich przedstawicieli rodziny nauczycielskiej warto wymienić Bolesława Opalka (1925–2018), syna prezesa lwowskiego ZNP Mieczysława Opalka, legionisty. Obaj, ojciec i syn, zaangażowani byli w działalność podziemną. Syn brał bezpośredni udział w batalii o Lwów w lipcu 1944 roku jako żołnierz kompanii „C” Eksterytorialnej Komendy AK Lwów pod kryptonimem „Warta” na Rzeszowszczyźnie. Po wojnie był aktywny w środowiskach kombatanckich, a jego ojciec kontynuował pracę nauczyciela, pod koniec życia przenosząc się do Nowego Sącza.

Do kolejnych lwowskich życiorysów związanych z „Burzą” należy dodać cichociemnego Stanisława Olszew-



Profesor Witold Czarnecki (zaznaczony okręgiem) wśród żołnierzy Szarych Szeregów na Wileńszczyźnie w 1944 r. FOT. ARCHIWUM PRYWATNE BARTOSZA CZARNECKIEGO

skiego (1912–1994) ps. Bar. Przed wojną był nauczycielem szkół powszechnych i działaczem ZNP. Pod koniec sierpnia 1939 roku zmobilizowano go do 86. Pułku Piechoty w Mołodecznie, będącego częścią 19. Dywizji Piechoty. W wojnie obronnej Polski 1939 roku został internowany na Litwie, skąd przedostał się do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii. Do okupowanej Polski skierowany w lutym 1943 roku, otrzymał przydział do Kedywu Okręgu AK Lwów. Po szkoleniu zrzucony w nocy z 16 na 17 lutego 1943 roku w ramach operacji „Rasp”. Otrzymał stanowisko dowódcy Ośrodka Dywersyjnego „Północ” we Lwowie i walczył o miasto w 1944 roku podczas Akcji „Burza”. Uwięziony przez NKWD, skazany na 15 lat katorgi przez sowiecki Wojenny Trybunał Lwowskiego Okręgu Wojskowego. Do 1956 roku przebywał w łagrach za kołem polarnym. Po po-

wrocie do Polski pracował w branży włókienniczej. Odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

Warto przypomnieć jeszcze Kazimierza Spornego (1911–1983), związanego ze szkolnictwem jeszcze przed 1939 rokiem. W czasie okupacji działał w konspiracji akowskiej w powiecie łowickim pod dowództwem komendanta Obwodu AK mjr. Lucjana Zielińskiego ps. Smuga oraz kpt. Witolda Pękalskiego ps. Wróbel. Był zastępcą tego ostatniego w latach 1940–1941, dowodząc oddziałem AK w gminie Bielawy pod pseudonimem Jakub. Od 1942 roku aż do końca woj-

Liczba nauczycieli zaangażowanych w Akcję „Burza” obejmowała tysiące osób, których nie sposób wszystkich wymienić

ny dowodził oddziałem AK i jednocześnie pełnił funkcję komendanta Szkoły Podchorążych w powiecie łowickim, prowadząc także tajne nauczanie. Brał udział w walkach podczas „Burzy”. Po wojnie w Łodzi założył i prowadził Komisję Kształcenia Nauczycieli, a jako dyrektor kierował tamtejszym Liceum Pedagogicznym. Był aktywnym członkiem ZNP. Odznaczony Krzyżem Partyzanckim i Krzyżem Armii Krajowej.

Liczba nauczycieli zaangażowanych w Akcję „Burza” obejmowała tysiące osób, których nie sposób wszystkich wymienić. Jednak chociażby powyższe przykłady wskazują na skalę ich udziału w tej operacji i determinację tych, którzy w 1944 roku podjęli walkę o wolną Polskę. Baza Kresowych Żołnierzy Armii Krajowej, stworzo-

na przez Muzeum AK w Krakowie, pozwala choć częściowo oszacować liczbę nauczycieli biorących udział w „Burzy”. Wprawdzie – parafrazując przysięgę AK – „wolność nie była dla nich nagrodą”, ale swój obowiązek spełnili.

Nauczycielkami zaangażowanymi w konspirację były także siostra i żona (obie o imieniu Maria) Witolda Pileckiego (1901–1948), twórcy konspiracji w Auschwitz, uczestnika brawurowej ucieczki z obozu i autora raportów opisujących panujące tam warunki. Do nauczycielek konspiracji należały również córka i żona pierwszego ministra edukacji II RP Ksawerego Praussa (1874–1925), tj. Zofia Prauss (1878–1945), która zmarła w styczniu 1945 roku w Auschwitz, oraz Ewa Prauss-Płoska (1913–1986), żołnierz Kierownictwa Dywersji i legendarnego Batalionu „Parasol”.

W walkach powstańczych uczestniczyli także inni nauczyciele, m.in. Wacław Schayer (1905–1959), organizator administracji w Śródmieściu, oraz Edmund Semil (1890–1975), który walczył z bronią w ręku w zgrupowaniu AK Zygmunta Netzera „Kryski”. Ciekawostką jest także udział w walkach powstańczych rodziny Emanuela Imieli (1888–1953), pisarza, wychowawcy, powstańca śląskiego i twórcy hymnu powstańców śląskich z lat 1919–1921. Jego córka, Czesława Imiela ps. Janka, była sanitariuszką w szpitalu nr 203 przy ul. Kasprowicza – „Nasz Dom”, plac Konfederacji 42/44. Nie przeżyła powstania. Informacja o niej znajduje się na Murze Pamięci Powstania Warszawskiego (kolumna 162, miejsce 18). W powstaniu wzięły udział także matka Czesławy – Stefania Imielowa ps. Warta (Referat „Pomocy Żołnierzowi” Komendy Głównej AK) oraz siostra Maria po wojnie nauczycielka.

Wątek obozowy był także obecny w kontekście nauczycieli akowców, jednym z takich przykładów jest Wła-



Odznaka za Akcję „Burza”
FOT. MUZEUM AK W KRAKOWIE

dysław Kreowski-Konik (1889–1987), członek ZNP, związany z Krosnem i Sanokiem, nauczyciel w okresie międzywojennym. W czasie wojny w ZWZ-AK, za swą działalność aresztowany i przewieziony z Tarnowa w 1942 roku do KL Auschwitz. Przebywał tam od lipca 1942 do grudnia 1944, nr obozowy 45028. Z Auschwitz przeniesiono go do Buchenwaldu. Przeżył wojnę, jednak został trwale okaleczony. Pracował w oświacie, działał w organizacjach kombatanckich i obozowych. Mimo swego zaangażowania w PZPR, był prześladowany za akcje związane z upamiętnianiem zbrodni katyńskiej. W latach 80. XX wieku został uznany za najstarszego żyjącego więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Odznaczono go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Partyzanckim, Złotą Odznaką ZNP, Medalem Komisji Narodowej.

Kolejna postać to Jadwiga Elżbieta Bojanowska (1905–2002), nauczycielka związana z ZNP od przedwojnia, członek konspiracji w Płońsku, żołnierz ZWZ-AK, harcerka. Prowadziła tajne nauczanie, aresztowana w 1943 roku przez Gestapo, więziona i tortu-



Jadwiga Elżbieta Bojanowska
FOT. DOMENA PUBLICZNA

rowana w kilku więzieniach, przewieziona do Auschwitz-Birkenau, gdzie przebywała od lipca 1943 roku do 17 stycznia 1945 (nr obozowy 50200). Przeżyła ewakuację obozu – tzw. marsz śmierci – i dostała się do Ravensbrück. Po powrocie do Polski



Maria Pilecka, siostra Witolda, członek ZNP prowadziła tajne komplety
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Maria Ostrowska-Pilecka, żona Witolda
FOT. DOMENA PUBLICZNA

była prześladowana przez Służbę Bezpieczeństwa za działalność społeczną. Pracowała w Płocku w tamtejszej szkole powszechnej i Liceum Pedagogicznym, należała do ZNP oraz Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Otrzymała Krzyż Oświęcimski, Złotą Odznakę ZNP oraz Medal KEN.

Nauczycielką, która działała w ruchu oporu i wspierała więźniów w Auschwitz, nazywana też „Pileckim w spódnicy”, albo „Siłaczką z Wielkopolski” była Janina Klatt (1900–1943). Od października 1939 roku zaangażowana w tajne nauczanie, działała w Śląskim Biurze Szkolnym (komórka Delegatury Rządu na Kraj). Organizowała akcje pomocy więźniom KL Auschwitz razem z harcerkami z drużyny im. Marii-Curie Skłodowskiej w Katowicach. Co tydzień wysyłała paczki z żywnością i lekami oraz ubraniami dla więźniów pracujących poza terenem obozu, co pozwalało też nawiązać łączność z obozem i otrzymywać dane o sytuacji w nim. Należała do Wojskowej Służby Kobiet

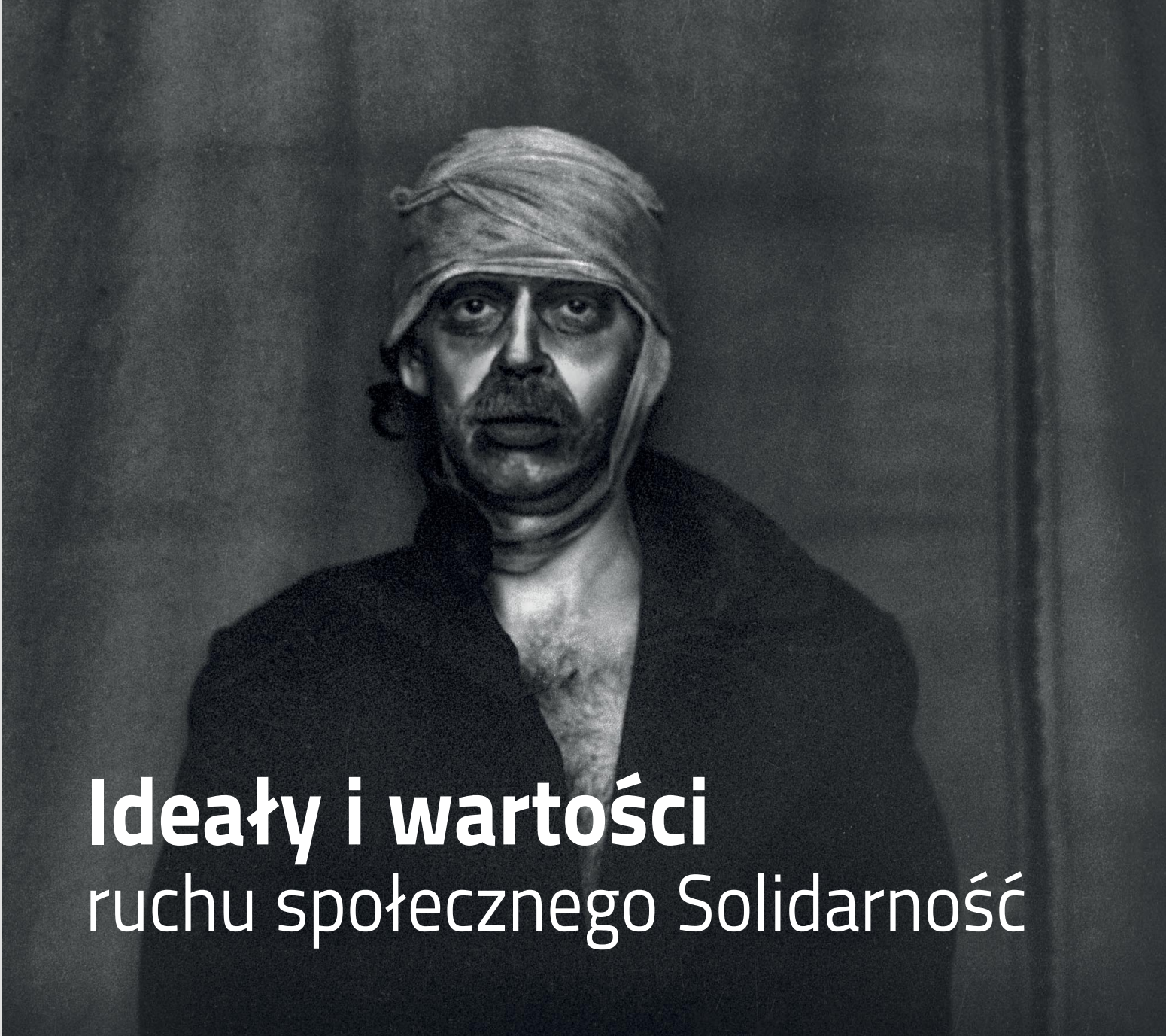
AK, wspierała czynnie działania zbrojne podziemia. Została aresztowana przez Niemców, którzy otrzymali donos od jej sąsiadów. Osadzona w katowickim więzieniu w 1942 roku, po torturach i długotrwałych przesłuchaniach przewieziona została do obozu w Auschwitz, gdzie ją zamordowano 29 marca 1943 roku.



Janina Klatt, nauczycielka i pedagog, działaczka konspiracyjna Polskiego Państwa Podziemnego na Górnym Śląsku
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Skala działań nauczycieli w ramach AK jest mało znanym aspektem martyrologii polskiego społeczeństwa. Literatura na ten temat wskazuje na szacunki, że w działania liczącej ponad 350 tys. Armii Krajowej było zaangażowanych od 25 do 30 tys. członków ZNP będących wówczas i później nauczycielami szkół powszechnych (podstawowych) i średnich, a także nauczycielami akademickimi. A warto pamiętać przy tym, że przed II wojną światową ponad 80 proc. nauczycieli należało do ZNP; po wojnie zresztą uzwiązkowienie również było znaczne. W związku z tym, że do tej pory nie przebadano w pełni zagadnienia udziału nauczycieli w ruchu oporu, to szacunki odnoszące się do struktur związkowych najpełniej na dzień dzisiejszy pozwalają pokazać skalę zaangażowania nauczycielstwa polskiego w walkę o Niepodległą w ramach Armii Krajowej w latach 1939–1945. ■

dr Piotr Wierzbicki jest członkiem ZNP, nauczycielem w ZPRS Kraków i pracownikiem Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fiedorfa „Nila”



Ideały i wartości ruchu społecznego Solidarność

Uważam, że w dalszym ciągu jestem członkiem Solidarności z 1980 roku. Z smutkiem oglądam zmiany, jakie nastąpiły w Polsce. Walka polityczna zniszczyła wszystkie ideały. Dlatego z nadzieją, wspólnie z podobnie myślącymi, założyliśmy w Krakowie Stowarzyszenie Sieć Solidarności, staramy się kultywować ideały i wartości ruchu społecznego Solidarność – powiedział w rozmowie z „Kombatantem” grafik i fotografik Jacek Maria Stokłosa.

Jakie ma Pan skojarzenia z PRL?

Cóż? Urodziłem się w 1944 roku, więc moja młodość i początki dojrzałego życia przypadły na czasy PRL. Pocho-
dzę z mieszczańskiej krakowskiej ro-
dziny o tradycjach wolnościowych. Mój pradziad, Ignacy Hofelmaier, był krakowskim rusznikarzem zaopatrzu-

jącym powstańców styczniowych. Czterej moi wujowie z linii Szwarcenberg-Czernych zginęli walcząc za Polskę: pod Lwowem, w kampanii wrześniowej, w Katyniu i w Powstaniu Warszawskim. Ojciec, Tadeusz, został skazany – jak mi mówiono – za „kawały polityczne” na dwa lata wię-

zienia. Pobyt tam go zniszczył. Matka z czwórką dzieci ciężko pracowała na ich utrzymanie. Była niezłomna i wierzyła, że ten system musi upaść.

Cricot 2 Tadeusza Kantora, spektakl „Umarła Klasa” FOT. JACEK MARIA STOKŁOSA

W 1980 roku był Pan jednym z założycieli NSZZ „Solidarność” przy krakowskim okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, ale z opozycją związał się Pan dużo wcześniej. Kiedy ten sprzeciw był na tyle duży, że pchał do działania i co Pana do tego skłoniło?

Moim pierwszym ponurym doświadczeniem z systemem była noc 1956 roku, po węgierskiej euforii, gdy pod moim oknem na ulicy Stolarskiej zobaczyłem tłum posępnych mężczyzn w szarych szynelach, szarych hełmach i z długimi pałami. Ci sami gonili mnie w marcu 1968 roku po ulicach centrum Krakowa.

Co czuje dwudziestokilkuletni chłopak wyrzucony z uczelni? Istniało przecież niebezpieczeństwo „wzięcia w kamasze”, a Pan – aktor związany z teatrem Tadeusza Kantora i artysta wystawiający swoje prace fotograficzne, nie miałby w koszarach łatwego życia.

We wspomnianym Marcu '68 roku zostałem relegowany z czwartego roku Wydziału Form Przemysłowych krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Powody były dziwnie błahe, a wszystko wskazywało na to, że uczelnia chciała po prostu wykonać narzucony „limit” represji. Groziło mi wtedy odbycie wieloletniej służby wojskowej. Uratował mnie oficer prowadzący studium wojskowe.

W jaki sposób?

Pomimo skreślenia z listy studentów wysłał mnie na dwa miesiące na poligon do Łodzi, razem z grupą studentów uczelni artystycznych. Tam złożyłem przysięgę i jako kapral podchorąży miałem wojsko z głowy. Aby kontynuować naukę, musiałem zacząć od początku. Zdałem egzamin kwalifikacyjny na pierwszy rok i rozpocząłem ponownie studia, tym razem na Wydziale Grafiki. Łącznie moje studia trwały aż 10 lat.

Czyli dwa razy dłużej... W związku z tym, że działalność opozycyjna wiązała się z ryzykiem, czego bał się Pan najbardziej? Czy miał Pan momenty wątplenia?

Od 1963 roku byłem związany z Galerią Krzysztofory, Tadeuszem Kantorem i Grupą Krakowską. Działalem jako aktor w teatrze Cricot 2. W latach siedemdziesiątych teatr bardzo często wyjeżdżał za granicę. Znajomość życia w Europie pogłębiała frustrację i poczucie bezsilności, dlatego każde nielegalne działania podejmowałem spontanicznie. Najprostszą, choć niebezpieczną formą sprzeciwu, było przemycanie do kraju emigracyjnych wydawnictw – głównie „Kultury”. Działalem też w drugą stronę. Gdy jechałem na otwarcie mojej wystawy w Kopenhadze, na granicy z NRD zatrzymano mnie na parę godzin, by sprawdzić, czy wśród prac nie przemycam materiałów szpiegowskich. Często dokumentowałem nielegalną działalność. Każde takie działanie niosło promyk nadziei, ale nie mogłem sobie wyobrazić, że w moim życiu nadejdą tak zasadnicze zmiany. System wydawał się niewzruszony. Ale zmiany nadchodziły!

Co ma Pan na myśli?

Wszystko zmieniło się z papieżem. To był szok. Wizyty papieża w Polsce rozbudzały nadzieje. Rok 1980, sierpień! Euforia! Wszyscy wstępują do NSZZ „Solidarność”. Pamiętam wielkie burzliwe zebranie w krakowskim Domu Plastyków, gdzie podjęliśmy uchwałę o powołaniu naszej Komisji związkowej. Dzikie pomysły! Pośrodku dużej sali Nowohuckiego Domu Kultury postawiłem stolik nakryty zielonym płótnem, a na nim symboliczny odbiornik Pionier z olbrzymią anteną, radio było nastawione na stałe, na stację – Wolna Europa. Dla Małopolskiego Regionu zaprojektowałem porządną odznakę Solidarność, metalową, emaliowaną. Miała być produ-

kowana w zakładach na Kazimierzu. System wydawał się być w odwrocie. Aż nadszedł dzień 13 grudnia.

Stan wojenny... Co Pan wtedy robił?

W sobotnią noc byłem na przyjęciu u znajomych na ulicy Siemiradzkiego naprzeciw Komendy Milicji. Wyglądając przez okna widzieliśmy wzmożony ruch w Komendzie i przed nią. I nawet wtedy przez głowę nam nie przeszło co się dzieje. Stan wojenny zaskoczył nas wszystkich. I tak przeszliśmy do podziemia. Dzielnicy pracownicy w zakładzie na Kazimierzu już w stanie wojennym wyprodukowali w tajemnicy próbną serię moich odznak, są one obecnie rarytasem dla kolekcjonerów.

Z żoną i przyjaciółmi stworzyliśmy podziemną komórkę zajmującą się zbieraniem informacji, kolportażem i częściowo drukiem wydawnictw i ulotek. Naszym kontaktem wyżej i szefem był Zbyszek Fijak. Jako grafik miałem w swojej pracowni drukarnię, gdzie metodą sitodruku powieliałem drobne druki, znaczki, ulotki. Początkowo były silne demonstracje w obronie Solidarności, największe w Nowej Hucie. Wszystkie rejestrowałem na zdjęciach. Byłem na tyle aktywny, że jak mi doniesiono, milicja pokazywała zatrzymanym moją fotografią, aby mnie zidentyfikować. Wysyłałem mikrofilmy z naszymi wydawnictwami na zachód, korzystając z faktu, że bliska znajoma architekt Krystyna Łyczakowska była na kontrakcie w Iraku. Co miesiąc dostawała pocztą zdjęcie swojego synka naklejone na tekturze, w której były mikrofilmy.

Muszę przyznać, że to pomysłowe.

Jednak patrząc z perspektywy na okres od 1981 do 1989, były to lata ukradzione z życia każdego z nas.

Jak wspomina Pan 4 czerwca 1989 roku? Czy rozmiar zwycięstwa Solidarności był dla Pana zaskakujący?



Magazyn Pamięci FOT. JACEK MARIA STOKŁOSA

Od maja 1989 roku, gdy ruszyła kampania Solidarności w Krakowie, naturalną kolejną rzeczą zacząłem działać w sztabie wyborczym, Małopolskiego Komitetu Obywatelskiego. Najpierw uporządkowałem graficznie wygląd logo MKO, potem robiłem ulotki wyborcze. Zaprojektowałem literniczy plakat wyborczy: Prawo, Sprawiedliwość, Solidarność. Wymyśliłem akcję robienia na Rynku Głównym, przykładem dawnych ulicznych fotografów, zdjęć kandydatów z przechodniami. Wykonałem wtedy kilkadziesiąt kolorowych zdjęć, które wyborcy mogli odbierać na Rynku następnego dnia.

Gdy ruszyła akcja fotografowania naszych kandydatów z Lechem Wałęsą, byłem przekonany, że lepiej będzie nie rozpraszać uwagi wyborców na wiele nieznanych twarzy, lecz skupić się na Lechu Wałęsie i nazwiskach kandydatów, bo to nazwiska będą na listach wyborczych. Z tą ideą plakatu zacząłem nękać szefa kampanii Maćka Szumowskiego, by zaakceptował jego realizację. W końcu się udało i mogłem wyruszyć do Gdańska, mając ze sobą aparat i napisaną letrasetem kartkę z nazwiskami krakowskich kandydatów. Dotarłem do Sali BHP. A tam tłum ludzi, kandydaci, fotografowie i Lech Wałęsa pełen energii. Nie wierzyłem, że się uda, ale dopchałem się do Lecha, krótko wytłumaczyłem mu ideę, wcisnąłem kartkę do ręki i zacząłem robić zdjęcia. Fotografowałem w naturalnym oświetleniu, rozpychając się w tłumie. Po kilku zdjęciach katastrofa!

Co się stało?

Moja wysłużona Fujica rozsypała się. Nie wiedziałem, czy mam to upragnione zdjęcie czy nie. Wróciłem w nerwach do Krakowa wywołałem film i byłem uratowany. Ostatnie klatki wyglądały tak, jak sobie je wymarzyłem. Zrobiłem dużą odbitkę i całociowy projekt graficzny plakatu



Gdańsk Ulica Nadziei 1980 FOT. JACEK MARIA STOKŁOSA

oddąłem do drukarni. Wtedy mój organizm zareagował na silne napięcia, wyłądowałem na OIOM-ie w Szpitalu im. Narutowicza z podejrzeniem zawalu serca. Dodatkowym, ale pozytywnym dla mnie skutkiem ubocznym tych zdarzeń, było definitywne rzucenie palenia.

Należy Pan do założonego w 2012 roku Stowarzyszenia Sieć Solidarności. Jednym z jego głównych zadań jest kultywowanie ideałów i wartości ruchu społecznego „Solidarność”. Dlaczego taka organizacja jest dzisiaj potrzebna?

Uważam, że w dalszym ciągu jestem członkiem Solidarności z 1980 roku. Z smutkiem oglądam zmiany jakie nastąpiły w Polsce. Walka polityczna zniszczyła wszystkie ideały. Dlatego z nadzieją, wspólnie z podobnie myślącymi założyliśmy w Krakowie Stowarzyszenie Sieć Solidarności. Staramy się kultywować ideały i wartości ruchu społecznego Solidarność. Trzonem stowarzyszenia byli Edward Nowak i już nieżyjący Maciej Mach. Większość naszych członków pochodzi z Nowej Huty, tam te ideały przetrwały. Dostosowaliśmy się do nowych czasów, działamy w internecie, mamy własną aktywną ciekawą stro-

nę i strony na portalu Facebook, Pamiętamy o kolegach, którzy odeszli i staramy się przypomnieć o wszystkich, którzy tworzyli nasz nowy świat.

Jaka jest Pana rola w stowarzyszeniu?

Z racji mojej profesji zajmuję się projektami – prawie wszystkich naszych wydawnictw, albumów, czasopism, druków ulotnych. Zaprojektowałem logo naszego Stowarzyszenia i z czego jestem najbardziej dumny: medal „Dziękujemy za wolność”, który stanowi symboliczne wyrażenie wdzięczności dla ludzi, którzy w okresie po 13 grudnia 1981 roku brali udział w tworzeniu wolności, niepodległości, demokratycznej i samorządnej Rzeczypospolitej Polski. Medal został ustanowiony przez Stowarzyszenie Sieć Solidarności w dniu 7 kwietnia 2014 roku. Przedstawia pochód hutników w Kombinacie w Nowej Hucie, podczas strajku wiosną 1988 roku. Wykonany z blachy stalowej. Nad idącymi ludźmi powiewa polska flaga, fragment logo NSZZ „Solidarność”. Na medalu znajduje się napis: „Dziękujemy za Wolność”. Już ponad tysiąc dzielnych ludzi zostało nim uhonorowanych.

Rozmawiał Mateusz Wyderka



TEKST | Agata Fijuth-Dudek

Życiorys Leopolda Ungera – dziennikarza, publicysty, komentatora międzynarodowego, to gotowy scenariusz na film sensacyjny

Leopold Unger

– dziennikarz, emigrant, „Brukselczyk”

Leopold Unger urodził się w 1922 roku we Lwowie, oboje rodzice pochodzili z ubogich rodzin galicyjskich Żydów i zginęli podczas II wojny światowej w lwowskim getcie. Po wybuchu II wojny światowej Leopold Unger, w wieku 17 lat, opuścił Polskę i jak wielu rodaków, dotarł do Rumunii. Początkowo towarzyszył mu jedynie jego brat Leon, który wkrótce podjął decyzję o powrocie do Polski, aby zająć się pozostawionymi rodzicami i żoną. Leon Unger trafił jednak na granicy polsko-rumuńskiej w ręce NKWD i został zesłany do łagru. Potem, już z z. Korpusem Polskim

dowodzonym przez gen. Władysława Andersa, dotarł do Tel Awiwu, aby następnie wziąć udział m.in. w bitwie pod Monte Cassino (1944) i Bolonią (1945), w trakcie której poległ. Został pochowany na cmentarzu w Loreto.

Młodziutkiemu Leopoldowi został po bracie list, w którym Leon, być może wiedziony przecuciem co do własnego życia, udzielił mu rad; aby dbał o higienę, zdobył zawód, pamiętał, że ma obowiązki wobec innych, szczególnie wobec pozostawionych we Lwowie rodziców. Po nieudanej próbie zaciągnięcia się do wojska, Ungera przygarnęło małżeństwo Galperinów,

ale nie trwało to długo, bowiem w obliczu wkroczenia do Rumunii Niemców wyjechali oni do Palestyny. Sam Unger tak wspominał ten czas: *Nie pamiętam, jakim cudem udało mi się, właściwie bezkolizyjnie, wejść w tę co trzeba koleinę. Jakiś dobry duch na pewno nade mną czuwał: trafiłem do liceum polskiego w Bukareszcie, co nie tylko w jakiś sposób nadawało treść egzystencji, ale dawało również pra-*

Szef Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa Marek Łatyński (z lewej) i Leopold Unger w Monachium FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

wo do pobytu w tym mieście, do legitymowania się normalną i legalną „carte de identitate” i do alokacji, wówczas 3000 lei miesięcznie. Nie wystarczało na normalne życie, ale nie pozwalało umrzeć z głodu.

Leopold Unger był jednym z dziecięciu Żydów, którzy w różnych rumuńskich miastach skończyli polskie gimnazja z polskim programem i dodatkowym językiem rumuńskim. Dodatkowo uczniowie żydowscy dostali możliwość studiowania, chociaż nie na wszystkich kierunkach. Leopold Unger wybrał ekonomię. Oprócz nauki udzielał się także w bukaresztańskim Domu Polskim, gdzie koncentrowało się życie kulturalne Polaków. Poznał tam wielu ludzi, którzy mieli znaczący wpływ na jego życie. Taką postacią okazał się Wacław Syruczek, przedwojenny ceniony krytyk teatralny i literacki, dusza towarzystwa Domu Polskiego, który wedle słów Ungera okazał się dla niego pierwszym mentorem (ostatnim miał być Jerzy Giedroyc). Przyjaźnił się z Joanną Burhardt-Bukacką, zwaną Bubą, pasierbicą przebywającego na internowaniu Józefa Becka, przedwojennego ministra spraw zagranicznych.

Kiedy dosięgły Ungera antysemityczne ataki na uczelni i w Domu Polskim, został przegarnięty przez Becków i zamieszkał z nimi w willi rumuńskiego dygnitarza. Leopold pracował; był m.in. kontrolerem sprzedaży i ruchu materiałów fabryce papy oraz urzędnikiem w atelier radiowym oraz pracownikiem w fabryce nici.

Tuż po wojnie, będąc jeszcze w Rumunii, Unger rozpoczął pracę jako dziennikarz. Zatrudnił się w gazecie „Nowiny Polskie” wydawanym przez Adama Weinsberga. W 1947 roku zaczął zaś pracę dla ambasady polskiej. Spisywał komunikaty nadawane o północy przez władze w Warszawie drogą radiową, by rok później zostać korespondentem Polskiej Agencji Prasowej w Bukareszcie. Nie popracował

długo, wkrótce został odwołany i postanowił wrócić do Polski. Wspominał: *W 1948 roku z Rumunii mogłem wyjechać wszędzie, tak jak to zrobiło wielu moich znajomych i przyjaciół. Świat stał przede mną otworem: od Palestyny (w momencie podejmowania decyzji powrotu do Polski właśnie rozdził się Izrael), poprzez Europę Zachodnią, po Brazylię. Ale byłem sam, nie znałem losów mojej rodziny, rodziców, brata. Większych złudzeń nie miałem, nikt nie wołał, byłem jednak przekonany, że jeżeli ktokolwiek z moich bliskich przeżył, to by mnie poszukał i odnalazł, wszyscy bowiem wiedzieli, że wylądowałem na uchodźstwie w Rumunii.*

Leopold Unger znalazł pracę w redakcji „Życia Warszawy”, w której pracował 19 lat. Na początku trafił do działu depesz, gdzie pisał streszczenia z nadchodzących z całego świata wiadomości. Wspominał, że tamten czas wypełniony był ciężką pracą i silną presją cenzorską w redakcji oraz organów bezpieczeństwa w życiu codziennym. Mimo że pisanie depesz było dla Ungera nużące, anonimowe i nie dawało szans awansu, po latach docenił naukę zawodu: *Depesze były – jak się miało okazać – znakomitą szkołą redagowania informacji i dyscypliny słowa. Ale była to także – i tego również musieliśmy się szybko nauczyć – szkoła, można to tak nazwać, „rewolucyjnej czujności” i elastyczności w drukowaniu oficjalnych idiotyzmów i prostackiej propagandy lub też w ogóle w procesie redagowania gazety w modelu komunistycznym.*

Z czasem Unger przeszedł z działu depesz do sekretariatu redakcji. W kwietniu 1962 roku został wysłany na Kubę jako korespondent Polskiej Agencji Prasowej. Nikt jeszcze wtedy nie przypuszczał, że jesienią wybuchnie tzw. kryzys kubański, a więc moment krytyczny konfliktu między supermocarstwami powojennego świata, który spowodował realne zagrożenie

atomową katastrofą. Dziennikarz śledził dzień po dniu eskalację konfliktu, w depeszach do Polski relacjonował zimnowojenny konflikt mocarstw i rolę Kuby. Wspominał: *W połowie października nie byłem jeszcze do końca pewien, jak daleko idą sowieckie przygotowania wojskowe na Kubie, ale już byłem przekonany, że Kubańczycy, nawet ci naprawdę trzeźwi, nie zdają sobie sprawy z ryzyka, ku jakiemu pcha Kubę ich naiwność, łatwowierność, stałe podbijanie własnego bębna i uleganie samobójczej auto-sugestii o absolutnym sowieckim ochronnym parasolu nad Kubą. Krótko mówiąc, nieświadomość jej priorytetów prowadziła Kubę do – w najlepszym razie – głębokiego rozczarowania, a w najgorszym do tragedii. Tuż po ogłoszeniu „porozumienia” sowiecko-amerykańskiego Leopold Unger przeprowadził wywiad z Ernesto Che Guevarą, ówczesnym kubańskim ministrem przemysłu, co było jego ogromnym zawodowym sukcesem.*

Nadszedł rok 1967 i Polskę ogarnęła fala antysemityzmu wywołana przez ówczesną władzę. Wokół Ungera zaczęły się zbierać czarne chmury. We wrześniu tego roku został niespodziewanie zwolniony z pracy w redakcji „Życia Warszawy”, w uzasadnieniu podano, że stanowi „źródło ideologicznego rozkładu zespołu”. W dokumentach Służby Bezpieczeństwa można odnaleźć lakoniczną notatkę, że Unger stracił pracę „za aktywną postawę syjonistyczną”. Utracił zatrudnienie bezprawnie i w trybie natychmiastowym. Po latach wspominał rozbitcie, żal i rozgoryczenie z powodu zarówno utraty pracy, jak i sposobu w jaki go potraktowano.

Dziennikarz został zatrudniony w redakcji „Dokumentacji Prasowej”, która zajmowała się opracowaniem informacji z prasy zagranicznej. Tymczasem represje zaczęły dosięgać także rodzinę Ungera. Wiosną 1968 roku

wyrzucono ze szkoły córkę dziennikarza, Monikę, 13-letnią uczennicę VII klasy, z powodu „wywyższania Żydów ponad inne narody”, a miesiąc póź-



tematy rzadko lub wręcz nieobecne na łamach miesięcznika wydawanego przez Jerzego Giedroycia. Pisał o skomplikowanym jednoczeniu Europy, niesprawności organizacji międzynarodowych, terroryzmie, zimnowojennych strategiach Związku Radzieckiego, stosunkach Wschód-Zachód czy wreszcie miejscu Polski na arenie międzynarodowej. Unger w jednym z listów do przyjaciół w kraju pisał, że współpraca z „Kulturą” jest dla niego sprawą zarówno zawodową, jak i sentymentalną, daje wytchnienie od pisania po francusku artykułów do gazety codziennej, pozwala na zachowanie kontaktu z językiem i polskim czytelnikiem.

Wkrótce belgijskie media zaczęły doceniać Leopolda Ungera i zapraszać

Leopold Unger podczas uroczystości wręczenia Orła Karskiego, Bruksela, 1 grudnia 2010 r.
FOT. PAP WIKTOR DĄBKOWSKI

niej wydano dyscyplinarnie z kolonii letniej 15-letniego syna Ungera, Marka, pod zarzutem „uprawiania propagandy religijnej i namawiania kolegów do chodzenia do kościoła oraz do bojkotu akcji zbierania runa leśnego dla Wietnamu”.

Szykanowani, śledzeni, podsłuchiwani Ungerowie postanowili opuścić Polskę, tym bardziej, że dziennikarz wkrótce stracił także pracę w „Dokumentacji Prasowej”. Wybór padł na Belgię, w której mieli rodzinę. Bruksela przyjęła Ungera przychylnie; dzięki kontaktom, które nawiązał z dziennikarzami zagranicznymi jeszcze jako redaktor „Życia Warszawy” udało mu się podjąć współpracę z belgijskim „Le Soir”, w którym przyjął pseudonim „Paul Mathil”, od skrótów imienia Leopold oraz Matylda (imię żony).

W 1970 roku Unger zaczął współpracę z paryską „Kulturą” przybierając pseudonim „Brukselczyk” i tworząc stałą rubrykę „Widziane z Brukseli”. Publicysta poruszał w niej

W dokumentach Służby Bezpieczeństwa można odnaleźć lakoniczną notatkę, że Unger stracił pracę „za aktywną postawę syjonistyczną”

do komentowania międzynarodowych spraw politycznych. Jako belgijski korespondent rozpoczął także współpracę z paryskim „Express”. Nawiązał również współpracę z Janem Nowakiem-Jeziorańskim i kierowaną przez niego Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa, na antenie której czytał własne komentarze do bieżących wydarzeń. Zaczął uchodzić na Zachodzie za publicystę bardzo dobrze poinformowanego, m.in. dzięki umiejętności rozszyfrowywania podtekstów w propagandzie płynącej zza żelaznej kurtyny, na Wschodzie zaś dzięki wia-

rygodności docierającej do wielomilionowej rzeszy słuchaczy RWE, która prezentowała także przeglądy tekstów dziennikarza w „Kulturze”. W 1976 roku Leopold Unger rozpoczął współpracę z renomowanym „International Herald Tribune”. Dzięki tej współpracy otrzymał prestiżowe stypendium w Woodrow Wilson Center for International Scholars, jednego z najbardziej znanych instytutów badawczych w Waszyngtonie. Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych w 1982 roku pracował naukowo, ale także pisał do takich gazet, jak „New York Times”, „Washington Post”, czy „Newsday”.

Przemiany polityczne związane z Okrągłym Stołem pozwoliły Ungerowi przyjechać do Polski po 20 latach nieobecności i od tego czasu był w kraju często, pisząc korespondencje m.in. do paryskiej „Kultury”. Rozpoczął współpracę z „Gazetą Wyborczą”, w której publikował krótkie felietony w stałej rubryce, stając się niewątpliwie bardziej rozpoznawalny dla polskiego czytelnika. Robert Sołtyk, korespondent „Gazety Wyborczej” w Brukseli wspominał: *Po 1989 roku polscy politycy wkraczający na europejskie salony masowo pielgrzymowali do Ungera. Z właściwym sobie sarkastycznym humorem trochę dworował sobie z tego, ale z drugiej strony był, i słusznie, dumny. W ten sposób wyrzucony w Polski, po antyżydowskiej nagonce, „Brukselczyk” stał się dla nowej Polski, wracającej do Europy, swoistą podporą. I zarazem drogowskazem – do NATO, a potem do Unii Europejskiej.*

Leopold Unger lubił mówić o swoim dziennikarstwie, że było dla niego „zawodem, powołaniem, rzemiosłem i sztuką, doświadczeniem i talentem, wiedzą i intuicją”. Zmarł 20 listopada 2011 roku, pochowany jest na cmentarzu żydowskim Kraainem w Brukseli. ■



16 czerwca 2025 r. szef UdSKIOR Lech Parell złożył wizytę w Poznaniu, podczas której spotkał się z Wojewódzką Radą Kombatancą, Radą Konsultacyjną do Spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych i przedstawicielami związków kultywujących tradycje patriotyczne. Podczas posiedzenia omówiono najważniejsze kwestie dotyczące działalności Rad oraz sprawy kluczowe dla kombatantów i działaczy opozycji antykomunistycznej.

Szef Urzędu wspólnie z wojewodą wielkopolską Agatą Sobczyk i przedstawicielami Rady Kombatanczej złożył kwiaty przed pomnikami Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej, Ofiar Czerwca 1956 roku oraz Ofiar Katynia i Sybiru.

Za szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość Rzeczypospolitej szef UdSKIOR uhonorował Medalami „Pro Bono Poloniae” Szymona Łukasiewicza, Hannę Siłą (na zdjęciu) i Mariana Tomaszewskiego.



FOT. UDSKIOR (6)

Gośćmi warszawskich uroczystości byli: Stanisław Zalewski, prezes Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych i Anna Stupnicka-Bando, prezes Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w latach 2008-2024.

Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady, Warszawa, 14 czerwca 2025 r.